

NAGRODA

180-

N

Magrada 2^a

Rejcheld Wilhelmina

Uxennia klasy III^{is}

admiral II^v

Wronowem postspowarnim
i pismosnia, nastupuje na
publianna. Nuznada, toto
na Jzile, miniczym adneda
Kielce dnia 1/2^o Lutego, 1853

Inspektor

Daniadoron

Ladca honorowy

Borkowski

Formuz

Alaueryele

Ukrayunjan

Kat. Olawinski

Benoya

Hamwinella

Kasparyk

W. Dyluski

W. Winiński

Pr. K. M.

J. S. J. S.

S. Gornicki

Handwritten text at the top of the page, possibly a title or header, written in a cursive script.

Second line of handwritten text, appearing to be a list or series of entries.

Main body of the page containing several lines of faint, handwritten text, likely a list or account.

NOTATKI

K. z T. II

NOTATKI.

WARSZAWA,

W Drukarni Głównej Państwowej

1881.

NOTATKI

NOTATKI

K. T. N.

Pozwala się drukować z warunkiem złożenia po wydrukowaniu do Komitetu Cenzury, prawem przepisanej liczby egzemplarzy.

Wilno dnia 15 Sierpnia 1850 r.

Cenzor *K. Pawłowski.*



Spec.
95580v

K 296/77

WARSZAWA

W. DEBURNI & OGEHRAND

Przy ulicy Miodowej Nr. 402

1851

LIST DO PRZEJACIOŁKI.

I.

UŁAMKI LITERATURY.

Przepraszam, że dozwolę z warunkiem niekiedy się wyrażać
kolumnie do Komisji Centralnej, w sprawie podległości Państwa
Krajowej.

Wiedeń, dnia 15. Sierpnia 1867 r.

ULAMKI LITERATURY.

1867

1867

LIST DO PRZYJACIÓŁKI.

Z powodu artykułu pani Ziemięckiej, umieszczonego w Pielgrzymie z miesiąca Lipca 1842, p. t. Rozbiór talentu i pism autorki Rozrywek.

Parę dni temu, jak mnie doszła druga połowa rozbioru, a raczej pochwały talentu i pism moich przez panią Eleonorę Ziemięcką. Pamiętasz kochana przyjaciółko, że przeczytawszy 1^ą połowę jeszcze przeszłego roku w Sierpniu, powiedziałam zaraz: iż skoro dokończenie mieć będę, musz odpowiedzieć; dziś więc dotrzymuję słowa, a nie śmiąc odpisać wprost pani E. Z., dla tej samej zapewne przyczyny, dla której młode dziewczęta nie śmia patrzyć tym w oczy co chwala ich oczy, tobie przesyłam tę odpowiedź.

I nie dotknie ona bynajmniej, jak łatwo zgadniesz, ani talentu, ani pism moich; żadnej potrzeby nie czuję stawania we własnej obronie, zaprzeczenia czegoś równie życzliwej jak wymownej autorce tego artykułu. Pani E. Z. postąpiła sobie ze mną jak biegły i prawdziwy malarz, i przypatrzwszy mi się z uczuciem, uchwyciła najkorzystniejszą stronę, postawiła mnie w najlepszym świetle i z wzoru dosyć sobie pospolitego zrobiła portret poetyczny, ujmujący, a przecież podobny. Mnie zatem nic nie pozostaje, jak wyrazić jej serdeczne podziękowanie; ani jednym słówkiem mnie nie rozgniewała, a tysiącem rozrzewniła, ujęła, podniosła nawet we własnej opinii. Cała więc moja odpowiedź dzisiejsza, dotyczyć się będzie mojego wychowania i osób, którym winnam to, czem dziś jestem, i żądam rzetelnie tej sposobności, powiedzenia raz prawdy w tej mierze; bo dotąd, kto raczył o mnie mówić, nigdy dobrze obznajmionym, a zatem sprawiedliwym nie był.

Wielu mnie miało i zwało „Puławianką” a ja dzieckiem będąc, byłam raz w Puławach przez dzień jeden; potem w 16^{lym} roku mego życia bawiłam kilka miesięcy przy ciotce rodzonej, a to już nie tyle w Puławach co w Sieniawie. Od tej zaś pory, nie widziałam Puław na oczy aż w roku

1824 kiedym je opisała w Rozrywkach. Moje całe uwielbienie dla Ks. Cz., cała o tym domu wiadomość, były mnie wlane i dane jak ustna tradycya przez rodziców, którzy rodzaj czci mieli dla starego księcia generała; straciwszy bowiem wszystko przez rewolucye krajowe, jego wspaniałości winni byli być swój; skutkiem tego rodzinnego podania, nie jedna moja praca literacka, stała się hołdem dla téj rodziny, gdyż młode serce słodkiej doznawało radości wywdzięczając się choć w ten sposób za rodziców moich. Pani E. Z. powiedziała pierwsza, że moja starsza siostra, nie ja, wychowała się w Puławach; umieściła wiele prawdziwych szczegółów o wychowaniu i pierwszym autorstwie; przecież jeszcze w jéj artykule nie ma całej i zupełnej prawdy; sprawiedliwość nie jest oddana komu należy, bo nie ma ani słowa o mojej matce. To zapomnienie, czy opuszczenie (pewno mimowolne) z ręki pani E. Z. najwięcej mnie obeszło, gdyż życząc sobie mocno zostać w pamięci Polek, tak jak ona mnie nakreśliła, pragnę jeszcze goręcej, żeby o matce mojej wiedziały. I dla tego nie mogłam już dłużej milczeć i postanowiłam ten jeden i pierwszy raz pomówić otwarcie o mojej matce, choć oczywiście, będę musiała przytém mówić więcej jeszcze o so-

bie. Tém przemówieniem nie chciałabym przynajmniej ubliżyć *czułej przyjaciółce*, a *raczej przyjaciółkom moich rodziców*, co sam Bóg widzi, jak je z duszy kochałam i kocham; wcale nawet tego nie zaprzeczam, żem wiele, bardzo wiele im winna, a najprzód ową *prostomyślną wiarę*, skarb nieoceniony, którą zaszczyliły we mnie tak głęboko; ale to czem dziś jestem, winnam zupełnie mojej matce; a nie mówię tu jedynie o zawodzie autorskim, ale o tem *skierowaniu całej zdolności kochania na prawą drogę*, o tej *harmonii pragnień i nadziei z powinnościami i ze zwyczajną rzeczywistością*, tak pięknie zdefiniowanych przez panią E. Z. a z których wypłynął ów zapas szczęścia wewnętrznego i pokoju duszy, które może wyczerpnie się, albo zachwieje nim śmierć przyjdzie; bo któż za przyszłość i za siebie ręczyć potrafi, ale który dotąd trwa jeszcze. Lecz najlepiej to wszystko się wykryje, kiedy tu z porządku moje dzieciństwo i pierwszą młodość opiszę.

Do czwartego roku życia byłam u rodziców z dwiema starszemi siostrami na wsi, oto w *Olshankach*, tylko że Wyczułkami się zwały. W czwartym roku wzięła mnie pod opiekę pani Aniela ze Swid.... Sz.... wdowa po staroście Wy-

szogrodzkim, dziedziczka Izdebna, a raczej wzięła mnie starsza jej córka, panna Dorota, która choć sama wówczas młodziuchna, zajęła się mną zupełnie i pokochała jak własne dziecko. Dom pani starościны Wyszogrodzkiej, prawdziwie zacnej, światłej i znakomitej białogłowy, był co do prawości i gorliwości w wierze, co do skromności w rozmowach, czystości w obyczajach, co do pracowitości, dobroczynności, gościnności, zupełnie domem staropolskim. Jeszcze tam czeladka, wprowadzie już tylko żeńska, zbierała się rano i w wieczór na wspólną z panią i jej córkami modlitwę; jeszcze wszystkie obrzędy, święta, posty, wszystkie przepisy surowo strzeżone; jeszcze pani domu choć urodzona z Barbary Krasieńskiej siostry królewiczowej polskiej, sama klucz od skarbczyka trzymała, głowy cukru rąbała własną ręką, wódeczki zaprawiała, z kobietami swemi smażyła konfitury i po dniach całych do kościołów szyła; jeszcze bywały w domu panny na respekcie i po kilka ubogich dziewczątek różnego wieku na wychowaniu; jeszcze był szpital koło kościoła, gdzie w pewne dni, pani i córki odwiedzały chorych; jeszcze w zapusty zajeżdżały kuligi, a przez rok cały w jakibądź dzień, o jakiejbądź

godzinie gość zawitał, zawsze bywał mile przyjęty a najnudniejszy szczerze zatrzymany.

Ale mimo tego wszystkiego dom pani starościny Wyszogrodzkiej, jak tyle innych pańskich i możniejszej szlachty w początku tego wieku, stał jakby na rozstajnej drodze; w połowie jego trzymała się jeszcze stara, prosta, poczciwa polsczyzna, a w drugiej połowie szerokie wrota otwarte były obczyźnie i cudzoziemka wypierała silnie prawą dziedziczkę. Sama pani Izdebińska czysto i niemal zawsze mówiła po polsku, lecz jej córki uczyły się czterech zagranicznych języków, mówiły, piisały, korrespondowały, modliły się po francuzku, wraz z dwiema przyjaciółkami od serca, mieszkającymi w blizkiem sąsiedztwie; raz w ogrodzie w lipowej ulicy którą *berceau de l'amitié* przeważały, przysięgły uroczyście nie iść za mąż za takich, coby nie umieli dobrze po francuzku; a tak one jak ich matka czytały niezmiernie wiele, lecz nigdy po polsku. Oczywiście, ja, która jakby za trzecią córkę przybraną zostałam w tym domu, nie mogłam być inaczej prowadzoną i uczoną. Mogę też zaręczyć sumiennie, że przez dziesięć lat które spędziłam w Izdebnie, nie miałam w ręku jak dwie lub trzy książki polskie i to poważnej treści, których mało co rozumiałam; panią *Beau-*

mont, Berkina, la Morale de l'enfance i inne t. p. dzieła umiałam na pamięć od szóstego roku; nauczyłam się czytać po polsku na tym tomie wydania Mostowskiego, gdzie jest świątynia Wenery Józefa Szymanowskiego; i pierwsze słowa którem złożyła siedząc na kolanach u panny Doroty, były jak dziś pamiętam: Wybór Pisarzy. Kiedyś ta kochana panna Dorota, dzisiejsza pani G....., z największą pracą tłumaczyła dla mnie Naruszewicza na francuzkie i dopiero w tym obcym kraju uczyła mnie polskiej historii. Jedyne wyższe ćwiczenie w języku ojczystym jakie znałam do czternastego roku było następujące: Pani Staroscina bardzo lubiła przesiadywać mnogie godziny w kościele; dla mnie która z dzieciństwa aż do téj pory rada się modłę ale niedługo, te godziny nieraz strasznie uciążliwe były, a ponieważ wiedziałam że w kościele myśleć o czem innem jak o świętych rzeczach nie godzi się, wynalazłam sobie sposób skrócenia czasu bez grzechu. Z mojej książki do nabożeństwa „*la Journée du chrétien*” tłumaczyłam sobie w myśli niektóre modlitwy na polskie i jakoś mi to wdzięcznie już nie w uszach ale w duszy brzmiało; pamiętam nawet, że często uroczystszemi mi się zdawały wyrażenia polskie od francuzkich i nie dziwiło mię

to wcale, bo już co otwartej pogardy rzeczy swoich, to w Izdebnie nabyć nie mogłam i pani Starościna i jej córki były zawsze Polki i tylko zamiłowały z zapałem język i literaturę francuzką z wyłączeniem własnej, nie domyślając się bynajmniej jak krzywdzą narodowość. Przez kogo i kiedy weszło w ten dom zamiłowanie francuszczyzny, nie wiem; najpewniej przez naśladownictwo drugich, nie słyszałam bowiem żeby tam była kiedy bona albo guwernantka francuzka; z kąd się nawet tam brały te książki francuzkie w takiej obfitości, także nie wiem; ale to wiem dobrze, iż prócz dwóch czy trzech godzin poświęconych lekcyom moim z panną Dorotą i pisaniu journalu i ekstraktów po francuzku, reszta dnia mego w Izdebnie schodziła prawie cała na czytaniu, a jak siebie zapamiętam, byłam nadworną lektorką; te panie szyły na krośnach, a ja czytałam głośno i nigdy co czytać nie zabrakło. Rano po kawie medytacye dzienne, *Evangele médité*, *Considérations religieuses*, Sturma lub inne jakie pobożne dzieło; od jedenastej do obiadu księgi historyczne, jako to: *Rollina*, *Millota*, *Histoire des hommes*; po objedzie: podróże, listy, albo takie np. książki: *Etudes de la nature*, *Génie du christianisme*, poema Delila, a w wieczór

romanse. Co ja tych romansów się naczytałam, to gdybym chciała tytuły wyliczyć, zapisałabym z pół arkusza; wszystkie pani *Gentis*, pani *Cottin*, pani *Montolieu*, *Riscoboni*, *Souza*, *Radcliffe*, *Regina Roche*, *Lafontaine*, zgoła jakie tylko były i wychodziły wówczas.

Najmniej uprzedzona osoba, sama kochana pani G..... przyzna, że w takim sposobie prowadzenia i uczenia dziewczęcia nie było przygotowania nie tylko na polską autorkę, ale na żadną. Bardzo to dobrze pamiętam, że przez lat dziesięć nic z głowy nie napisałam, chyba nędzne listy po francuzku i może być bardzo, że ani jednej myśli własnej nie miała. Ten nawał książek różnej treści czytanych jedna po drugiej, a czytałam wszystkie z uwagą, zupełnie był tém dla mnie, czem dziś brzegi gościńca lub rzeki dla jadącego lub płynącego za pomocą pary; choćby patrzył jak najpilniej, będzie widział wiele rzeczy, ale sprawy zdać z tego co widzi, nie ma czasu, ani sposobności i pewno niczem nie zbogaci album swego. Może być nawet, że to zbyteczne karmienie się cudzemi tworamami i myślami w wieku pierwszego rozwijania się umysłu, pozbawiło mię na zawsze oryginalności i imaginacyi artystycznej, powtarzam artystycznej, bo co owęj w którą — jak dobrze mówi

pani E. Z. „*okwituje dusza najspokojniejszej kobiety*” na tój i mnie nie zbywało, a zasilana tak romansami, byłaby zapewne wzięła obrót bardzo szkodliwy, gdyby w tem nie uratowała mię moja matka; i tu się zaczyna dobroczynny jój wpływ nademną..... Ale nim to opowiem, niech mi wolno będzie zrobić jedno zapytanie i zaraz dać na nie odpowiedź.

Co jest imaginacya i jój marzenia w głowie każdej młodej dziewczyny, czy ona ładna czy szpetna? Jakaś potrzeba ideału doskonałości, nadzwyczajności i szczęścia, która zwykle, mówiąc między nami, nie sięga duchownych krain, lepszego świata, ani téż cnót anielskich, ale jest po prostu wyobrażeniem *miłości i kochanka* ubarwionem z samego instynktu niewieściej skromności imionami *małżeństwa i męża*. Otóż od takiej imaginacyi, jój niebezpieczeństw i śmieszności, uchroniła mnie nie moja zbyt uczona młodość, nie brak urody ale uchroniła mnie moja matka.

Już to owe pierwsze trzy lata mego życia, zostawiły w moim dzieciennym umyśle, a raczej w sercu jakiś ślad miły, tajemniczy, niepewny, a przecież żywy i niezatarty. Malują go zupełnie te wiersze Zaleskiego:

Błogo temu kto pamięta

Luby dziwny gdzieś przed laty

Żywot czysty i skrzydlaty,

Pierworodny swój początek.

Kto w cielesnych więzów męce,

W niebo codzień wznosząc ręce,

Do tych dusznych drży pamiętek.

O! dla mnie kolebka przy łóżku matki, jęj starania i pieszczoty, zabawy z siostrami w rodzicielskim a zatem w *swoim* domu, u *siebie* były tym „żywotem” i dusza moja drżała do tych rodzinnych pamiętek, tęskniła za ich powrotem. Byłabym niewdzięczna, gdybym śmiała powiedzieć że mnie nie kochano w Izdebnie, że się nie starano o prawdziwe dobro moje; lecz gdzież, kiedy, jaka opieka zastąpi dla dziecka matkę, a jeszcze taką matkę jak moja, otoczoną takim urokiem jak ona była dla mnie. Składało się na ten urok wiele rzeczy: najprzód widywałam ją rzadko i krótko, bo ledwie co rok opuszczała Puławy i przyjeżdżała w nasze strony na czas krótki; powtóre, moja matka była piękna, dziwnéj słodczy i wesołości razem, a jako osoba żyjąca w wielkim świecie, zawsze starannie i nadobnie ubrana; stała się przeto dla mnie jakimś wzorem piękności i gustu. Potem z jęj ust, jak łatwo się domysleć, spływały dla mnie same błogosławieństwa, po-

chwały, czułości, bo widując mnie tak mało, czasu na co innego nie miała; wreszcie za każdym razem co mnie widziała, zwłaszcza gdy już była starszą i bardzo smutną, nie tała się z tem że pragnie jak zbawienia duszy mieć mnie przy sobie; odebrać nazawsze; że po stracie męża, dzieci są całym skarbem, że nie wątpi iż nastąpi kiedyś szczęśliwa chwila w której nas zbierze koło siebie, jak kokosz pisklęta zbiera, ale że jeszcze milczeć trzeba.

Wszystkie tedy żywioły młodej imaginacyi, wspomnienia, tęsknota, piękność, tkliwość, nadzieja, tajemnica, wszystko się znajdowało obficie w mojej matce i w moich z nią stosunkach. Kiedyby więc inne dziewczę w moim wieku marzyło jak wszystkie marzą; ja marzyłam o niej, o mojem z nią połączeniu, gubiłam się w myślach jakim cudem się to stanie, układałam sobie w głowie różne okoliczności tego wydarzenia; słowem to połączenie grało tę samą rolę w moim umyśle, jaką gra zwykle u młodych dziewcząt miłość i małżeństwo; było szczytem szczęścia, upragnioną zmianą i ustaleniem mojego losu. W książkach, w romansach jakie czytałam, upatrywałam jedynie podobieństwa do mojej matki i do mego położenia; ztąd poszło od pierwszego dzieciństwa

zamiłowanie szczególne listów pani de *Sévigné*? bo pod jęj postacią, moję matkę widziałam; ztąd ze wszystkich romansów pani *Genlis*, *Alphonsine*, *ou la tendresse maternelle*, a więć jęszcze „*Matki rywalki*” pierwszeństwo miały u mnie, bo oczywiście ja byłam „*Leokadja*”; pamiętam jak nie raz po godzinie całej siadywałam nad sadzawką w Izdebińskim ogrodzie, wyglądając rychło przypłyynie do mnie gałązka mchowej róży jak do Leokadyi przypływała. Bóg widzi, żem nie wówczas nie rozumiała jaką krzywdę wyrządzam mojęj poczciwęj matce, równając ją z cudzołożną Duchesse de Røsmond, a siebie z podrzutkiem, z dzieckiem nieprawem. Ale wiadomo w dawniejszych romansach umiano owijać występek w powabną barwę, i jak zbałamucone w nich były proste zasady cnoty i powinności.

Właśnie kiedym kończyła rok czternasty, po różnych wypadkach z których nie jeden sprawdził marzone przezemnie przygody, dostałam się nareszcie zupełnie na zawsze do matki, do sióstr, do rodziny, i zaręczyć mogę, że osiągnąwszy zupełnie cel, tak długich, tak żywych pragnień, już nie życzyłam sobie niczego więć jęj, nie marzyłam o niczem, i ani Amanda łącząca się po tysięcznych przygodach z ubóstwianym Mortymerem, ani

wszystkie Klary, Adele, Julje z Walmorami, Arturami, Alfonsami swymi, nie zdawały się tyle szczęśliwe co ja, i nie zazdrościłam im wcale. Przyznałaby mi też to pewnie kochana matka gdyby żyła jeszcze, przyzna już jedyna siostra, przyznają dobre ciotki, że choć mnie w domu i w całej rodzinie miano za romansową, przecież pod tym przydomkiem nikt nie rozumiał tego co zwykle pod nim ma się rozumieć: miłosnych idei, pragnień i marzeń. Owszem i matka i wszyscy ciągle mnie strofowali o mój zbytek niepretensyi, o zupełne zaniedbanie samej siebie, o brak wszelkiej chęci podobania się mężczyznom, o jakąś pogardę ludzi, o głębokie przekonanie, że nie tylko nigdy za mąż nie pójdę, ale że ten świat wcale nie jest dla mnie i w kącie siedzieć powinnam.

Któż nie przyznał czytając to com tu powiedziała o pierwotnem wychowaniu mojem, że matce i stosunkom moim z nią, winnam była *skierowanie od początku całej zdolności kochania i władz imaginacyi na prawą drogę*; teraz zostaje mi jeszcze odkryć więcej, to jest: jakim sposobem mimo nadanego mi zupełnie słusznie przydomku *romansowej*, to jest osoby nie do tego a raczej do żadnego świata, matka doprowadzić mnie potrafiła do rezultatu tak zupełnie prze-

ciwnego, to jest do *harmonii pragnień i nadziei* z *powinnościami i ze zwyczajną rzeczywistością*, i nareszcie jako jej winnam moje narodowość i autorstwo.

Już ja nie raz opisywałam z upodobaniem moję matkę; jak ten malarz co wszystkie swoje piękności malował do kochanki, tak w moich pismach wszystkie dobre matki mają z moją podobieństwo. Ale żadna przecież, nawet pani Rawiczowa nie jest zupełnie nią, bo nigdzie nie można było opisać dosłownie okoliczności jej życia, różnych nieszczęść, a te jedynie malują dokładnie osobę; i tu z tych samych przyczyn, wiernego ich wizerunku nie dam; powiem tylko że to była wielkich zalet i prawdziwie do kochania, do pożycia osoba. Znałam świętsze, doskonalsze, uczeńsze, więcej czarujące kobiety; ale miłszej, praktyczniejszej pobożności i cnoty, tak ujmującego ułożenia, humoru, większego rozsądku, pewno już w żadnej nie zobaczę. Ona tedy mnie nauczyła słowami, przykładem, całą osobą, że można być pobożną a razem wesołą, przyjemną, podbijającą, bo nie samo wieczne, ale ziemskie szczęście jest w cnotcie, i nie odpowiadamy za nikogo tylko za siebie; ona mnie przekonała, że staranność koło powierzchowności naszej jest obowiązkiem, bo od Boga

mamy duszę i ciało, że można lubić i uprawiać nauki, ale będąc kobietą, nie trzeba kłaść ich nigdy na pierwszym miejscu, ani nie móżd wyżyć dnia jednego bez książki; a nareszcie, ona mi zaręczyła, że wszystkie romanse, to istne bajki, któremi wolno niekiedy się bawić, ale wierzyć im broń Boże. Nie zapomnę nigdy jak odczytywałyśmy razem niektóre, i jak jawno wykazywała ich przesadę i niedorzeczności. Trafiało się też często, że w miejscach gdzie dawniej rzewnie płakała, wtedy, zwłaszcza przy wesołości i dowcipie starszej siostry, boki zrywałam od śmiechu. W tem jak w wielu rzeczach innych, zupełnie mi się oczy otworzyły; zaczęłam być młodą, wesołą, naturalną, mniej wymagającą, zaczęłam poznawać zwyczajną rzeczywistość, a co większa, znajdować w niej upodobanie; co przed tem zdawało mi się stratą czasu, roboty ręczne, domowe zachody, to wnet w miłą powinność się zamieniło. Nawet co do umiejętności zyskałam nie mało; czytałam nierównie mniej, ale uczyłam się daleko więcej; a co najważniejsze było dla Polki i dla przyszłej pisarki, polszczyzna zaczęła wchodzić w mowę i nauki moje. Nie uczyłam się wprawdzie polskiego języka z reguł, bo nigdy niczego i (dotąd tego dosyć odżałować nie mogę i dla siebie

i dla pism swoich) nie uczyłam się z reguł, porządnie technicznemi wyrazami, ale ciągle oddychałam żywołem ojczystym. Matka umiała po francuzku, inaczéj jakżeby mogła była żyć lat kilkanaście w wielkim świecie; ale jako wychowana w staropolskim domu, i żona dobrego Polaka i pisarza, mówiła i pisała lepiej i chętniej po polsku; prócz tego mieszkała wraz z nią siedmdziesiątletnia jéj matka Prowidencja Czempińska, godna równiennica kasztelanowej Połonieckiej, która pamiętała wybornie Augusta III. Przy takiej matronie francuzczyzna ostać się nie mogła; a do tego wszystkiego miałam jeszcze siostrę, moję nieodżałowaną dotąd Marynię, sześć lat młodszą ode mnie, która chowając się do owéj pory przy babce, ani słowa po francuzku nie umiała; moja matka rozdzieliła staranie uczenia jéj między nas dwie starsze siostry, i mnie się dostała religia i historia; bo trzeba jeszcze wiedzieć, żem uchodziła w rodzinie całej za małego Salomona, a między nami mówiąc, miałam się sama daleko uczeńszą niż dziś; co może i tak było ważąc naukę z latami. Bąc co bąc, przystąpiłam śmiało i gorliwie do uczenia młodszéj siostry, a choć używałam dzieł francuzkich, musiałam wykładać jéj wszystko ustnie i na piśmie *po polsku*, gdyż inaczéj nie ro-

zumiała; i taka to była pierwsza i słodka przegrawka do tyłu późniejszych pism edukacyjnych, chociaż wtenczas autorstwo nie było mi jeszcze w głowie i chociaż gorące zamiłowanie polskiego języka, a zarzucenie zupełne francuzczyzny nie nastąpiło aż w roku 1818, za wspominanem już gdzie indziej przezemnie, przeczytaniu *Żalu Brodzińskiego* za mową ojczystą. To zarzucenie jednak, jak każdy mi przyzna, nie byłoby mogło odrazu nigdy nastąpić, a osobliwie nie mogłabym była nigdy wskoczyć równemi nogami na autorstwo, jak to zrobiłam z rokiem 1819, gdyby po pierwszych dziesięciu latach obfitości francuzkiej w wychowaniu mojem, nie były nastąpiły siedm lat obfitości polskiej u matki, gdyby ona nie była mnie zachęcała, nie upatrywała we mnie, w stylu, w piśmie nawet mojem podobieństwa z ojcem, gdyby jej przyjaciele, mianowicie Woronicz, Wyszkowski, oba ludzie nie mówiący nigdy po francuzku, nie byli mnie oświecali, przewodniczyli mi w poznawaniu klassycznych pisarzy naszych. Nakoniec na większe każdego przekonanie powiem, że lata francuzczyzny, tak mało rozwinęły we mnie jaki taki talent do pisania, iż szczerze wątpię czy go mam z natury i sądzę że raczej moje siostry, a nie ja wzięły tę puściznę po ojcu; dopiero

z pracą nad polskim językiem i literaturą, zaczęły mi się nasuwać myśli i mniej pospolite wyrażenia. Pisałam ja wprawdzie do roku 1818 listy francuzkie nie źle; kochana ciotka moja, pani G... może jeszcze ma gdzie jaki list mój w tym języku, ale pewno każda z naszych panienek staranniej chowanych, pisze takowe jeszcze lepiej; co tylko zaś do innego spróbowałam po francuzku, powieści, wierszyki, rozprawy, wszystko to było ezcze i nie warte. Przeglądałam te piśmidła przed ostatecznym moim wyjazdem z Warszawy, w Październiku 1831 roku, i znalazłam same tak nazwane lieux communs, pod tytułem: *les Sentimens, les Fleurs*, i tym najrzetelniejszym: *mes Riens*, nie wiele myśląc, wszystko wrzuciłam w ogień i do prawdy że nie szkoda.

Jakże więc serce córki, wreszcie rzetelność moja cierpieć nie ma srogo, kiedy we wszystkich wzmiankach o mnie, najpochlebniejszych pochwałach mojego talentu i pism, w wyliczaniu łaskawem zalet i zasług, nie ma wspomnienia o tój, której one głównie się należą. Niechże więc ta moja dzisiejsza odpowiedź, sprostuje te omyłkę, nagrodzi tę niesprawiedliwość choć w oczach waszych; bo przesławszy ją oczywiście pani Ziemięckiej, dla której szczególnie ją napisałam, nie będę

się bardzo gniewała na ciebie, kochana przyjaciółko, jeżeli pod wielkim sekretem, udzielisz jej parze takich osób, których wiesz że zdanie cenię; ale większej jawności, takiej np. jak dwa przeszłoroczne listy, zaklinam cię, niech to pisemko nie ma. Niech zostanie w rękach twoich i dopiero po mojej śmierci, niech posłuży albo tobie, albo komu do napisania rzetelniejszej mojej biografii, a nadewszystko do oddania sprawiedliwości mojej matce; w tym jedynie celu mogłam się odważyć na przemówienie tak otwarte w osobach i rzeczach, które zbyt blisko serca mego dotyczą, zbyt są ściśle aby je odkrywać komubądź bez wielkiej potrzeby.

Bywaj zdrowa, kochana przyjaciółko, o ile można szczęśliwa, wesoła, a dla mnie zawsze jednaka.

15 Marca 1845 r.

K. z T. H.

II.

KRÓTKI RYS

HISTORJI LITERATURY POLSKIEJ.

KRÓTKI RYS

HISTORJI LITERATURY POLSKIEJ.

dzieli na pięć wielkich okresów.

Pierwszy zaczyna się z zaprowadzeniem chrześcijaństwa do Polski i ciągnie się do panowania Kazimierza Wielkiego, t. j. od r. 964 do 1333. Okres ten, pierwszego brzośka nazwiska nosi.

Drugi od 1333 do 1506, czyli od Kazimierza Wielkiego do wstąpienia na tron Zygmunta I, jest nierównie od pierwszego świetlejszy; zowią go też porankiem oświecenia Polski.

Trzeci od 1506 do 1622, t. j. od Zygmunta I, do czasu użycia przewagi Jezuików w kraju naszym, jest najciemniejszy, i jednogłośnie jest

się bardzo gniewała na ciobie, kochana przyja-
 ciółko, jeżeli pod wielkim sekretem, udzieliła jej
 parze takich osób, których wiesz że zżalim się;
 ale większej jawności, takiej się jak była bra-
 sznierzczono listy, zaklinam cię, żeby w piśmie
 nie ma. Niech zostanie w sekrecie twoich i donieru
 pa mojej siostry, niech posłuży albo tobie, albo
 komu do wyrażenia rzetelnej mojej biografii,
 a nade wszystko do oddania sprawiedliwości mojej
 matce; w tym jedynie celu mogłam się odważyć
 na przemówienie tak. **III** Je w osadach i rze-
 czach, które zbyt blisko serca mego dotyczą, zdy-
 są ściśle bliżej. **IV** **W** bez wielkiej

HISTORIA LITERATURY POLSKIEJ

zna szczerliwa, wesoła, a dla mnie zawsze ja-
 śniwa

Warszawa 1814 r. K. T. H.

II.

KRÓTKI RYS

HISTORII LITERATURY POLSKIEJ.

(Pisany w r. 1844).

Historią literatury polskiej, dzielią zwykle uczeni na pięć wielkich okresów.

Pierwszy zaczyna się z zaprowadzeniem chrześcijaństwa do Polski i ciągnie się do panowania Kazimierza Wielkiego, t. j. od r. 964 do 1333. Okres ten, pierwszego brzasku nazwisko nosi.

Drugi od 1333 do 1506, czyli od Kazimierza Wielkiego do wstąpienia na tron Zygmunta I, jest nierównie od pierwszego świetniejszy; zowią go też porankiem oświecenia Polski.

Trzeci od 1506 do 1622, t. j. od Zygmunta I, do czasu użycia przewagi Jezuitów w kraju naszym, jest najznakomitszy, i jednogłośnie jest

nazwany wiekiem złotym i jakby południem światła nauk w Polsce.

Czwarty od r. 1622 do 1760, a raczej od czasu użycia przewagi Jezuitów do wskrzeszenia dobrego smaku przez Stanisława Konarskiego, zbyt wczesnym i nieszczęśliwym wieczorem literatury polskiej mianować należy.

Piąty od Konarskiego, t. j. od r. 1760 do naszych czasów, wieku odrodzenia, i jakby nową jutrzeńki przydomek uzyskał.

Te wszystkie pięć okresów przebiegniemy w krótkości, wymieniając nazwiska pisarzy, którzy w nich szczególnie się odznaczyli, a potem dzieląc ich na trzy podziały, na:

Historyków,

Poetów,

Mówców i moralistów,

wspomniemy w części drugiej nieco o sławniejszych autorach i ich dziełach.

OKRES PIERWSZY.

Jak u wszystkich narodów starożytnych, tak i u Polaków, światło nauk dopiero z wiarą chrześcijańską zajaśniało. Nie znamy żadnych uczonych

zabytków przed Mieczysławem, który jak wiadomo, pierwszy z monarchów polskich chrzest przyjął; ani nawet wiedzieć możemy z pewnością, czy kto w owych czasach pisać i co czytać u nas umiał. Ale z zaprowadzeniem chrześcijaństwa, i światło nauk jaśnieć zaczęło. Sprowadzeni kapłani i zakonnicy do wykładania polskiemu ludowi nauki Chrystusa i inne wnet zaszczepli. W owym wieku całe światło posiadali księża, w cichości klasztornej czytali, pisali, przepisywali księgi różne, a niektórzy z nich utrzymywali szkoły i młodzież w nich uczyli. Tak samo się trudzili sprowadzeni do Polski, a w tej mierze przodkowali przed innymi Benedyktyni, których Bolesław Chrobry w r. 1008 w Sieciechowie i na Łysiej Górze osadził, posażąc bogato ich klasztory. Ale łatwo pojąć, że księgi Benedyktynów i innych zakonników, ich nauki i pisma, nie były po polsku; wszyscy ci księża jako cudzoziemcy uczeni, używali powszechniej w owym czasie uczonych mowy, łaciny, a polski język równie jak wszystkie nowożytnie w tych wiekach, nie był jeszcze tyle wykształcony aby w nim dzieło pisać i nauki wykładać można było.

Jednak w niedługim czasie, zaczęli się zjawiać ludzie światli pomiędzy Polakami, a język się

kształcił; w pierwszej połowie dwunastego wieku przestano używać cudzoziemców do duchownych dostojenstw; a w r. 1285 na sejmie Łęczyckim wyrok zapadł, aby tych urzędów cudzoziemcom nie dawać wcale, a na czele szkół nie umieszczać meżów którzyby dostatecznie języka polskiego nie umieli. W tymże czasie Polska już tylu miałauczonych, iż w wielu akademiach, jako to: w Padwie, w Bononii, w Paryżu, w Pradze, dokąd na nauki młodzież nasza jeździła. Polacy byli profesorami, a niektórzy nawet rektorami tych najzawołanszych w Europie akademij, jako to: Mikołaj z Krakowa, Jan Grot ze Słupca, Przeclaw herbu Grzymała i inni. Około tego czasu, zaczęła też mieć ojczyzna nasza i historyków swoich, czyli kronikarzy: Marcina Galla, Mateusza Cholewę, Wincentego Kadłubka, Marcina Strzębskiego, kilku innych. Ci lubo po łacinie i po większej części baśnie w miejscu historyi pisali, zasługują na nazwę pisarzy polskich od pierwszego okresu literatury naszej. Z tego okresu, mamy także zabytek mowy polskiej pisaniej, a tym jest pieśń Boga Rodzica przez S. Wojciecha, przed r. 997 w języku czeskim ułożona, nieco później na polski język przetłumaczona, i tak w ustach ludu, w pismach nabożnych przechowana, dopóki w r. 1506 druk jej nie

uwiecznił. Oto początek téj pieśni w najdawniejszej polskiej pisowni.

Bog rodzycza dziewicza Bogiem sławiona Marija,
 U thwego szyna goszpodzyna Matko szwalona Marija
 Zijszezej nam, spuszcziej nam Kijrzeleyzon,
 Thwego szijna krzjecielija z bosznij czasz,
 Uslysz glossy napelnij myśli czlowijecze,
 Slysz modlitwy, czebije proszyny, i t. d.

Nie są to zapewne wielkie skarby, ale był też to brzask pierwszy światła; jednak zaprowadzeniem chrześcijańskiej wiary, upowszechnieniem łacińskiego języka, wykształceniem jakim takim ojczySTEM, godzien wdzięczności i wspomnienia.

OKRES DRUGI.

Zaczyna się od wstąpienia na tron jednego z najlepszych królów naszych, Kazimierza Wielkiego. Monarcha ten, czyniąc wiele dla dobrego bytu, dla zapewnienia szczęścia poddanych swoich, nie mógł o naukach zapomnieć, które tak ściśle są z niemi związane. Szkoły dotąd w Polsce będące nie były dostatecznymi, Kazimierz założył więc kamień węgielny akademii krakowskiej, na wzór paryzkiej.

Polska nie miała praw i ustaw swoich spisanych, Kazimierz wezwał pomocy uczonych i doświadczonych mężów, mianowicie Jarosława Skotnickiego i ułożył pierwszą polską księgę praw, znaną pod nazwiskiem Statutu wiślickiego. Ustawy te odznaczają się przyjemną prostotą ; to prawodawstwo wielu narodom dziś przed nami stojącym, było przykładem i wzorem. W dowód jak już była dobitna polszczyzna w tych czasach, przytaczam parę wyjątków z przedmowy, czyli przedśłowia:

„Gdy polug nauki pissma wsselky czlowyck w mlodoszczy iest pochopneyszy ku zlemu, i wszelkye stworzenye swiatha nie trawiaćze samo w sobie ale przyrodzenye czlowieckze rychlej szie skloni podlug swiatha do grzechu nisz podlug swiatłoszczy ku Bogu... przeto by nyezgody uczynchely o zgodny przespiecznoszcz mysli, układy i prawa są przez ręce Boże ustanowione”...

Tak zbawienne i skuteczne dla zaprowadzenia światła środki, zaniedbane przez następcę Kazimierza, Ludwika, gorliwie przez wnukę jego piękną Jadwigę i męża jej Władysława Jagiełłę użyte zostały. Akademia krakowska uzyskała wykończenie swoje, i w tym czasie znakomite dzieło w polskim języku dokonane zostało. Jadwiga sła-

wna cnotami, urodą, pobożnością i nieszczęściami, lubiła bardzo modlić się i czytać, a nie umiając po łacinie nie łatwo mogła dogodzić tym szlachetnym gustom swoim. Z jej więc rozkazu i za jej staraniem pierwszy raz ujrzano Biblię w polskim języku, jakoteż Świętych żywoty i inne pobożne dzieła, a królowa w ich czytaniu nie mało pociechy znalazła. Gdy w samym kwiecie wieku, w r. 1399 umarła, druga żona Jagiełły, Zofija, także podobny gust okazała, i tłumaczono dla niej księgi Święte na język polski. Jędrzej z Jaszowca najwięcej nad temi przekładami pracował, i jest dotąd w starodawnych zabytkach naszych, część Biblii, znana pod nazwiskiem *Psalterza Królowej Jadwigi* i *Biblia królowej Zofii*; pokazują je ciekawym tak troskliwie, jak w Paryżu książki nabożne Ludwika Ś. i inne.

Syn Władysława Jagiełły Kazimierz Jagiellończyk, nie mało także dla nauk uczynił i on szkół wiele pozakładał i do zamiłowania języka łacińskiego wiele się przyłożył; miał dzielnego pomocnika w Janie Długoszu, sławnym pisarzu dziejów polskich, któremu wychowanie synów swoich polecił. Długosz jest jednym z tych, którzy do uświecenia tego drugiego okresu literatury naszej wiele się przyczynili, bo sam uczony, zamiłowanie

ksiąg zwłaszcza łacińskich u nas rozszerzał. Niemniej dodaje mu blasku Mateusz z Krakowa, który urodzony w r. 1345, w ojczyźnie nauki odebrawszy, był rektorem akademii pragskiej, później paryzkiej, gdzie przez czas długi, licznym zawsze słuchaczom teologią wykładał. Po wynalezieniu sztuki drukarskiej, tegoż Mateusza z Krakowa książka *Ars moriendi* (sztuka umierania), w Harlemie została wydana r. 1440 kiedy autor już dawno nie żył; a tak dzieło Polaka należy do liczby pierwszych dzieł drukowanych. Grzegorz z Sanki już w połowie piętnastego wieku ważne zdanie i prawdy filozoficzne powtarzał.

Sztuka drukarska, jak w całej ziemi, tak i w Polsce przynieść musiała zbawienne owoce swoje; rzuciło się wiele Polaków do poznania tego nowego, a tak użytecznego kunsztu. Wielu utrzymuje, że wynalazca jej sławny Faust, był naszym Twardowskim, który prześladowany w ojczyźnie jako czarownik przezwiał się po niemiecku *twardo, fest*, i w Moguncyi i w Strasburgu z Gutenbergiem wynalazek swój wydał. To jednak pewna, że za granicą pierwsze drukarnie zakładane były przez Polaków, tak Adam Polak był drukarzem w Neapolu 1473 r. Skrzeluski w Wiedniu, Władysław i Stanisław bracia w Sewilii, w Stambule

nawet Polak pierwszą założył turecką drukarnię. W Polsce zaś, są ślady drukarni około r. 1485, i Jan Haller, Polak, jest uważany dotąd za tego który pierwszą drukarnię w Krakowie założył i dzieła łacińskie w niej wydawał. Pierwsze polskie pismo wydrukowane, jest wspomniona pieśń Boga Rodzica w r. 1506, na czele zbioru praw, który Jan Łaski z rozkazu króla Aleksandra ułożył, i która to praca kończy okres drugi historii literatury naszej. Dodać jeszcze należy do tego obrazu, że w tym ciągu t. j. w r. 1478 Kopernik się urodził. Kopernik którego nam zawiść obcych wydrzeć chciała, jak tyłu już wydarła, ale który przecież był Polakiem, bo Toruń choć dziś do nas nie należy, był wtedy polskiem miastem, jak Warszawa i inne! A Kopernik nauki swoje odbywał w Krakowie; co więcej ojciec jego rodem był z Krakowa, tylko osiadły w Toruniu.

OKRES TRZECI.

Od r. 1506, to jest od wstąpienia Zygmunta I na tron, rachujemy wiek najświetniejszy literatury naszej; — jak w tych czasach kiedy to i ludziom i narodom wszystko się darzy i wiedzie, tak tedy

w Polsce wszystko jakby na wyścigi łączyło się do postawienia kraju naszego na wysokim szczycie. Królowie światli, zacni, jako to: Zygmuntowie i Stefan Batory i panowie zamożni, opiekunowie nauk jak Padniewski, Zamojski, Tarnowski, Górka, Radziwiłłowie i tylu innych, którzy nie tylko że sami księgi pisali, ale zakładali szkoły i akademie, w ubóstwie szukali talentów i podawali im rękę; w kraju i za granicą chwałę polskiego imienia szerzyli. Aniby też można wyliczyć wszystkich imion sławnych naszych w tym okresie pisarzy, Erazm Ciołek, Rej z Nagłowic, Orzechowski, Kochanowscy, Górnicki, Bielscy, syn i ojciec, Birkowski, Szymonowicz, Mościcki, Modrzewski, to tylko próbki tego znakomitego orszaku. Mamy też z tego wieku dzieła w języku ojczystym które do dzisiejszego dnia za wzór czystości, prostoty poważnej i toku prawdziwie polskiego służyć mogą; mamy księgi po łacinie pisane, które w całej Europie dotąd są poważane. Tyle wtenczas pisano i czytano, że prawie w każdym miasteczku była drukarnia, a każda czynność dla siebie znalazła. Wiele wprowadzie było dzieł mających za przedmiot religijne rozprawy, bo był to właśnie wiek reformy, wiek teologii, i jak dziś polityka, tak wtedy wiara wszystkie światlejsze

umysły zajmowała, wiele piór ostrzyła—ale były i inne pisma dziejopisów, poetów, mówców, moralistów, i najlepiej przekonamy się o tem w zapowiedzianem o sławniejszych pisarzach naszych wspomnieniu.

O! czemuż ten wiek tak pomysłny nie trwał długo, czemu wygasła linia Jagiełłów tyle nam droga, czemu nie mieliśmy więcej monarchów Batoremu podobnych! W tym okresie czasu, dwie akademie założone zostały; Zamojska, przez Wielkiego Jana Zamojskiego, Wileńska przez króla Stefana, a oświata na tak wysokim była stopniu w całej Polsce, jak nigdy odtąd jeszcze w Polsce się nie ukazała. Wyprzedziła wtedy Polska wszystkie europejskie narody, a gdyby nie zbieg dalszych nieszczęść, dziś byłaby zapewne jeśli nie wyżej, to bez wątpienia na tym samym stopniu co szczęśliwsze od nas Niemcy, Francya i Anglia, które wtedy dziwiły się jój światłu i polorowi. Świadczenia tego, są w relacyach poselstw różnych polskich tak we Francyi jak w Rzymie, w Londynie, w drukarzach i artystach, których prasy i rylce swojskimi czynami i ludźmi najwięcej zajęte były.

OKRES CZWARTY.

Od 1622 do 1760 roku.

Ze smutkiem przystępuję do kreslenia tego długiego wieku, wieku rychłego wieczora nietylko literatury, ale całej świetności naszej, który pochłonał wszystko co poprzedni był zebrał i zaskarbił. Pierwszą przyczyną jego nieszczęść był król Zygmunt III i fanatyzm jego; zbyt gorliwy katolik, uległ zupełnie i zawierzył Jezuitom; ci dumni księża, których głównem powołaniem było przeciwie się kacerstwu i bąc jakim sposobem dokazali tego, że król prześladowając różnowierców, niezgodę, intrygi w naród swój wprowadził; pozabawił Polskę nieprzeliczonego mnóstwa ludzi zdatnych i światłych, którzy z tego powodu do przychylniejszych im krain się wynieśli; nareszcie przytłumił nauki i światło, pozwalając Jezuitom zająć się wyłącznie edukacją młodzieży. Kraj zaburzony niezgodami domowemi, wnet i w oczach sąsiadów powagę stracił; zaczęły też zwolna odrywać się od Polski dawne prowincye, a Szwecya i inne, najazdy swoje rozpoczęły. W tłumie niezgód i wojen, literatura kwitnąć nie mogła; jaśniały jeszcze czas jakiś zabytki wieku Zygmunatów,

jako to: *Skarga*, *Sarbiewski* i inni, ale już to były gasnące światła. Król po polsku dobrze nie umiał, królowe Austriaczki Niemcom tylko sprzyjały; znikła więc pomału czysta narodowość, Jezuici szerzyli coraz więcej teologiczne dysputy, a panom im sprzyjającym nie szczędzili panegiryków. Za Jana Kazimierza wzięło górę odurzające szermierstwo zapaśników teologicznych; za Jana Sobieskiego bezsilne zżymanie się czczych panegirystów ogarnęło umysły. Z tego poszło, że literaturę tego wieku teologiczno-panegiryczną pospolicie zowią. Utrzymywała się na tej stopie za dwóch synów Zygmunta III, za Michała Korybuta i nareszcie za Jana III; kilku tylko ludzi wyższych nad otaczających, jako to: Fredro, Lubomirski, Jabłonowski, Opaliński, Leszczyński, przypominali dawne czasy: ale słaby był głos ich w pośród tej całej gawiedzi, mało słyszany wśród wojen, targów o elekcyę królów, intryg dworów zagranicznych, targów szlachty, zrywań sejmów, i doszło do tego, że gdy rodzina saska objęła tron polski, zmęczony naród usnął wśród biesiad i pijatyk i zapomniał tak o kraju jak i o naukach. Mało wtedy ksiąg wychodziło: rozprawy teologiczne, księgi nabożne, panegiryki, herbarze, takie jedynie są tych czasów pomniki i to polszczyzna

ich tak nastrzępiona łaciną, tak szumna i wymuszona, że rozumieć ją trudno. Wtedy zjawił się Konarski w tym ciemnym zupełnie wieczorze, zajaśniało zbawienne światło i od niego się rozpoczyna ostatni okres historyi literatury polskiej.

OKRES PIĄTY.

Od 1760 do dni naszych.

Na ten okres z pociechą i chlubą patrzeć mi przychodzi; a lubo w jego przeciągu Polska najwięcej doznała wstrząśnień, przecieź z upodobaniem na niego spoglądam, bo winy nie widzę; a postrzegając tyle szlachetnych usiłowań, tyle poświęceń, nie mogę tylko uniżyć się przed prawicą, która to wszystko zdziałała. Stanisław Konarski rozpoczął ten piękny szereg prawdziwych ludzi: był on księdzem, ale z zakonu Pijarów. Zakon ten, jeszcze za Władysława IV do Polski sprowadzony, pozakładał był szkoły w różnych jej częściach i wnet widoki jego daleko się okazały szlachetniejsze niżli Jezuitów; ci ostatni przemagali jednak jako dawniejsi. Konarski dopiero kilku dziełami otworzył oczy narodu, naraził się na wiele prześladowań, trudności doznał, ale niczem nie zrażony ciągle pracował.

Założył szkołę wyższą w Warszawie, i wnet do niej synów pierwszych domów oddawać zaczęto, a dzieła jego tak w edukacyi, jak w rządzie, w sposobie pisania wnet pomyslną zmianę sprawiły. Zasiadł na tronie wtenczas Stanisław August; król ten miał swoje przymioty. Najcelniejszym z nich było zamiłowanie nauk; znalazł więc w nim Konarski opiekuna, ale dzielniejszą jeszcze rękę podali mu Czartoryjscy. Było ich wtedy trzech braci, a wszyscy zamożni, światli, chwały cnotliwej, szczęścia kraju pragnący; naśladować ich już zaczynał i czwarty, a lubo młodszy jeszcze Adam, późniejszy generał ziem podolskich. Ich wpływowi przypisać najwięcej należy nagłe ulepszenie i wzrost, jaki wnet na ziemi naszej wszystko znalazło; przyczynili się także do tego wychowańce Stanisława Leszczyńskiego, owego cnotliwego księcia, którego losy odsunęły od polskiego tronu, ale który na francuzkiej ziemi nigdy Polaków kochać nie przestawał i wielu ich przy sobie i w szkole założonej w Lunewilu wykształcił. W czasie tym odrodzenia, obficie znowu jaśnieć zaczęły światła na literackim naszym horyzoncie; tu znowu pamięci mojej nasuwa się zbyt liczny szereg sławnych imion: Załuscy,

Krasicki, Kopczyński, Naruszewicz, Albertrandi, Wyrwicz, Karpiński, Trembecki, Zabłocki, Książnin, Czacki, Poczobut, Potoccy, Kołłątaj, Woronicz, Śniadeccy, że tylu innych pomnę. Wtedy Polska znowu ozdobiła się nowym blaskiem, dała wzór rządowej reformy i edukacyi. Zawiązało się też w tym czasie Towarzystwo Przyjaciół Nauk pod przewodnictwem Albertrandego, a po jego śmierci Staszycy, i także przyczyniło się niemało do wzrostu literatury. W czasie krótkiego trwania Ks. Warszawskiego wszelkie poczyniono rzeczy dla edukacyi, dla literatury, pod przewodnictwem Stanisława Potockiego; szkoły znaczącego ulepszenia doznały; a Liceum Krzemienieckie założone przez Tadeusza Czackiego, kwitnęło pomysłnie. Cesarz Aleksander język, nauki zachęcał, w Warszawie uniwersytet, bibliotekę publiczną założył. Polacy, zaczęli znowu cieszyć się i oddawać naukom. Woronicz przemówił dwojako: wieszczą i kaznodziei wymową, Niemcewicz nastroił lutnię i piosnki zanócił, Brodziński odezwał się prawdziwie narodowém pieniem, Feliński ozdobił scenę swoją Barbarą; Lelewel, Ossoliński erudycyą głęboką samych Niemców zdziwili, grono uczonych z polecenia Towarzystwa Przyjaciół

Nauk zaczęło wydawać obszerne dzieje ojczyste; kobiety nawet zachęcane tym ogólnym ku narodowości popędem, ośmielili się objawiać po polsku myśli i uczucia swoje.

III.

O LISTACH PANI DE SEVIGNE.

Przewidzieć, że p. Pante Swieten nie zaima lepszego księzi dla kobiet, i którzyby z ównią przyjemnością i korzyścią czytać i wdzyczywać można. Ja wiem że we dwunastu wiekach już umiarte listy szczerze zajmowały, dziś bliższe czterdziestu, coraz większe mara w nich upodobanie. Czytałam je nie wiem wiele razy, czytałam je prawie ciągle. Jak dobie do miejsca i czasu kiedy się zjechały matka z córką, zaspakujona ich szczepieniem, zamykam kieliszek i nie czystem cza jakis, jak rowno ja do rąk weźnę, porzucić nie mogę dopokąd życzenia tej zacnej matki spełnione nie są; dopóki rowno nie zostawie jej z córką. Jak wiele nauk o takich przekonywających w tych listach! Samo życie pani Sevigne jest dobrym wzorem, jak ona wszędzie i zawsze zatrudnio się umie, aby być użyteczną

Wskazywano na potrzebę obywatelską
 kobierzy nawet zachęcając tym ogólnym ku narodo-
 wości poparciem, ośmielili się objawiać po polsku
 myśli i uczucia swoje.
 Polska znów ozdobiła się nowym blaskiem, dała
 wzór rządowej reformy i edukacji. Zawiązało się
 też w tym czasie Towarzystwo Przyjaciół Nauk
 pod przewodnictwem Liberańskiego, a po jego
 śmierci Staszka, i takle przeżył się niemniej
 do wzrostu literatury. W czasie krótkiego urzęd-
 ka Waraszwskiego wszelkie poczynienia złoży-
 ła edukacyi, dla literatury, pod przewodnictwem
 Stanisława Potockiego; szkoły znaczącego ul-
 piecenia dekuracji, a Liceum Krzemienieckie zało-
 żone przez Leszczyńskiego, krótko po myśli-
 nie. Cesarz Aleksander język, nauki zachęcał
 w Warszawie uniwersytet, bibliotekę publiczną
 założył. Polacy, znów ciężyć się i od-
 dawać naukom. Wśród przemówił do jako-
 wieższa i karkozna wywawa. Niemowicz na-
 stroił intale i plonki zanosił, Bronziński odezwał
 się wawdziele narodowem piensiem, Poluski
 ozdobił scenę swoją Barbara, Leszewel, Ossoliński
 trudyczą głębioką samych Niemców zdatwili, gr-
 no uczonych z polecenia Towarzystwa Przyjaciół

III.

O LISTACH PANI DE SEVIGNÉ.

Prawdziwie, że po Piśmie Świętém nie znam lepszéj książki dla kobiet, i któraby z równą przyjemnością i korzyścią czytać i odczytywać można. Ja wiem że we dwunastu leciech już mnie te listy dziwnie zajmowały, dziś blisko czterdziestu, coraz większe mam w nich upodobanie. Czytałam je nie wiem wiele razy, czytałam je prawie ciągle. Jak dojdę do miejsca i czasu kiedy się zjechały matka z córką, zaspokojona ich szczęściem, zamykam książkę i nie czytam czas jakiś; jak znowu ją do rąk wezmę, porzucić nie mogę dopókad życzenia téj zacnéj matki spełnione nie są, dopóki znowu nie zostawię jéj z córką. Jak wiele nauk a jakich przekonywających w tych listach! Samo życie pani Sevigné jest dobrym wzorem, jak ona wszędzie i zawsze zatrudnić się umie, aby być użyteczną

i szczęśliwą! Jakie to serce nieoszacowane! Wyraźnie potrzebuje, to dzieci i starych hodować, to pilnować chorych. Żyjąc w Paryżu, znając wszystkich, nie ciśnie się przecież do dworu, nie stara o dworskie urzędy. W młodości dobrą sławę, w późniejszym wieku świętą wolność nad wszystko przekłada. Dzieciom oddaje majątek, przecież zostawia sobie tyle, że jest niepodległą; długów więcej się boi niż śmierci, a jak tylko cokolwiek wyda nad możność, natychmiast schrania się do swojej wioski i tam pędząc lato i zimę, oszczędza; z tego powodu raz nawet córki w Paryżu odjeżdża i w całym życiu swoim tę jedną ofiarę za ważną sobie rachuje. Pobożność jej jest rzetelna, prawdziwa; żadnej obłudy, przesądów żadnych, wiara światła; największe upodobanie ma w religijnych ksiązkach. Pismo Święte zna dobrze i stosować umie jego nauki. Życie umie z każdym, dziwi się czasem sama z sobą jak mało jej potrzeba żeby z ludźmi kontenta była; ulega wszystkim, każdemu podobać, przysłużyć się stara. O zdrowiu swoim rozsądne ma staranie. Z dziećmi tak jest, że ją kochają i szanują, zarazem i władzę ma nad nimi równie jak nad wnukami, lubo jak się zdaje, gniewać się nie umie, tém mniej łajać. Przyjaciołka wierna, niezmienna, tém wierniejsza

i czulsza jeśli jęj przyjaciel nieszczęśliwy, w niełasee. Taką się okazała dla dwóch oddalonych ministrów *Fouquet* i *Pomponne*. Wesoła, żartobliwa, nie jest przecieź obmówna, ani złośliwa. Skoro może to chwali i widać że większą w pochwałach niż w naganie przyjemność znajduje. Pani de *Grignan*, godna takiej matki, dopełnia cnotami swemi wzoru, jakiego okoliczności pani *Sevigné* podać nam nie dozwoliły. Jakaż to żona, jak oddana mężowi, jak wierna mimo piękności tak znakomitęj; familja mężowska jęj własną; w nieobecności męża, nawet u matki jęj nie dobrze; a przytęm, jakieź to względy dla tęj matki: zapewne żadna nie zasługiwała więcęj na nie; ale przecieź, jaka niezmeńczona przez tyle lat troskliwość, akuratność w korrespondencyi; w podróżach jakie staranie i wybiegi żeby ją zawsze regularnie listy dochodziły, jaka pieczołowitość koło jęj zdr owia i szczęścia. Kto jęj chciał przyjaźń okazać, dobrym był dla pani *Sevigné*; owe rozmowy księcia de *Chaulnes* z duchem nieprzytomnej pani de *Grignan*, skoro szło o zdrowie matki, wymownie to malują. A obok tego, jakiż to wzór stylu, opowiadania, opisywania rzeczy i ludzi, zdawanie sprawy o dziełach czytanych, o widzianych teatralnych sztukach; jaki język jasny i miły. Może to jedno



dzieło w francuzkim języku któreby przetłuma-
czyć na żaden sposób się nie dało; a gdybyśmy
podobne posiadali, ręczę żeby nasze wielkie damy
po polsku umiały. W najmniejszej rzeczy piękny
charakter. Pieszczona od księcia i księżnej de
Chaulnes, rządców Bretanii, przecież w mieście
ich, w Rennes mieszka u pani Marboeuf. „Nie jest
dobrze, mówi o niej z księciem i księżną, ale trzeba
już znieść tę małą przykrość; ja zawsze swoją
drogą idę, z nikim nie jestem źle.” I miała tę po-
ciechę, że zgodziła między sobą tych poważnio-
nych przyjaciół swoich.

Wreszcie, jak jej nie mam kochać i lubić, kiedy
jej listom winnam tyle chwil przyjemnych, a jej do-
wcipowi trunek, który najlepiej lubię; ona kawę ze
śmietanką wynalazła. „Mamy tu, pisze pod d. 29
Stycznia 1690 do swojej córki, — dobre mleko,
zbieramy z niego śmietankę i mieszamy ją z cu-
krém i dobrą kawą; nie uwierzysz jaki to specjał,
moje dziecię; nazywamy to mlekiem kawowem,
albo kawą mleczną.”

Pisano w r. 1838.

IV.

MYŚL DO DRAMATU,

ALBO DO POWIEŚCI HISTORYCZNEJ,

p. t. **KLIMUNT.**

W Krakowie w miesiącu Lipcu 1460 r. kiedy Kazimierz Jagiellończyk w Prusiech wojował, a zastępowała go w łatwiejszych rządach krajowych żona jego, Elżbieta Austryjaska, trafiła się następująca przygoda:

Wiadomo każdemu, że w owych czasach nasz Kraków na równej był stopie z wielu wielkimi miastami europejskimi, a mieszczanie krakowscy słynęli zamożnością. Wszystkie części handlu miały bogatych kupczących, każdy cech wybornych mistrzów. Między temi, przodkował dostatkem, biegłością i wziętością, a więcej jeszcze może śmiałym, otwartym i szlachetnym, że nie

powiem hardym umysłem, młody i dorodny Klimunt, płatnerz. Rzemieślnik tego rodzaju, w kraju tak wojennym jak Polska, mógł mieć snadno roboty wiele, choćby i doskonałym nie był; coż dopiero Klimunt, który terminował w Niemczech i równał się najslawniejszym płatnerzom w Auszburgu, w Norymberdze. Ledwie tedy że sklep i warsztat otworzył na swoje w samym rynku krakowskim, zaraz został nadwornym majstrem pierwszych panów Korony i Litwy i roboty miał raz na raz jak sam mawiał „wyżej głowy.” Miasto całe szczyciło się nim, a pospólstwo kochało go; Klimunt bowiem uczynny, serdeczny, nie odmówił przysługi, a drażliwy o honor własny i równych swoich, za krzywdą najuboższego mieszczanina, gotów był obstawać jak za własną—do upadłego. Do tych wszystkich korzyści, Klimunt przed rokiem dołączył był nową. Ożenił się z Anną Szarlejówną, jedynaczką zacnego Jarosława Szarleja, rajcy krakowskiego; a nie dosyć na tém, że bogate wziął z nią wiano, jeszcze tém ożenieniem zagarnął łaskę obojga królestwa. Anna Szarlejówna, urodziwa i bardzo układna dziewczeczka, młodziuchną będąc zwróciła na siebie oczy królowej w czasie uroczystości miejskich, która uprosiwszy ją u ojca, wzięta ją była do fraucy-

meru na trzy lata. Młoda, wesoła, a rozsądna Anna, wnet się stała ulubioną pokojówką Elżbiety; bawiła się z małeńkimi królewnami Jadwigą i Zofiją i z małym królewiczem Władysławem; przy niej urodził się Kazimierz, co później świętym został, i nie raz nianczyła mu. Lubiła ją tedy nietylko królowa, ale dziatki jej i król; gdyż obok wesołości, rozsądku, urody, panna Szarlejówna miała dowcip niepospolity, wielką dobroć serca, i rzadką biegłość w kobiecych robótkach; łatwo przeto mogła być wszystkim miłą i użyteczną. Gdy trzy lata zapowiedziane minęły, królowa byłaby bardzo rada zatrzymać ją jeszcze na drugie trzy. Ale dawna przyjaźń łączyła dom Klimuntów i Szarlejów, dawna ugoda postanowiła związek małżeński między jedynakami obudwóch rodzin jeszcze w ich dzieciństwie, a Klimunt nie był z tych co czekać lubią; tém bardziej iż go docho- dziły wieści, że piękna jego narzeczona, nie tylko jemu piękną się zdawała; choć to pokojówce, a może dla tego że pokojówce, nadskakiwało jej wiele panów młodych i niemłodych, a wszystko grzeczni i zamożni. Królowa Elżbieta, wzorem była cnót niewieścich, na jej dworze panowała wszelka przystojność; ale czyż jej oko wszystkiego dosięgnąć mogło? a ośmnastoletniej dziewczynie

zblądzić, czyż nowina? Mimo tedy oporu królowej płatnerz Klimunt na swoim postawił, ożenił się z Anną w porę naznaczoną, radując się mocno, że ją wyrwał w czas od dworskich pokus. Rok pierwszy małżeństwa minął jak najszczęśliwiej, ile że Pan Bóg ślicznego dał im synka. Dawni gaszkowie zaglądali radzi do pięknej pani Klimuntowej, pozorów i dogodności nie brakowało; wszyscy jako rycerze i w porze ciągłych wojen, płatnerskiego rzemiosła potrzebowali; ona zaś bardzo często w sklepie siedziała, osobliwie kiedy męża w domu nie było, bo polegał na niej we wszystkim jak na samym sobie. Lecz jest w obejściu się cnotliwej i rozsądnej kobiety, choćby też cudem urody była, pewna powaga, prostota i prawda, która śmiałków w respekcie trzyma i ubezpiecza najdrażliwszego męża. Anna miała te przymioty; lubo więc najznakomitsi panowie częstemi byli w sklepie, wszystko przyzwolicie się działo i Klimunt w duszy mówił sobie: „Nieźle to, dali-pan, w rzemiosle mojem, mieć żonę piękną i dworską, kiedy cnotliwa; roboty jest więcej i lepiej płaca, a część mężowska nie szkoduje.” Nie zrażał tedy tych świetnych odwiedzin, a swoją Annę kochał nie dziw lepiej. Przecież jeden z owych zamężnych gaszków, wzbudzał w nim nie tak obawę,

jak raczej wstręt. Był to Andrzej Tęczyński kasztelan, mąż zacnością i dawnością domu znamienity, zamożny w dostatki i godności. Głośny on był zarówno z dumy i zalotności, choć już niezupełnie młody, miał bowiem dorosłego syna, Jana, był jeszcze bardzo dorodny i do miłości skory. Po śmierci żony, nie ożenił się żeby mieć tem więcej wolności służenia pięknym paniom; pełen pogardy i wyniosłości dla mężczyzn niskiego stanu; kobiety, choćby chłopki nie obraził byle piękną była. Nie pomału zalecał się urodziwej Annie kiedy na dworze królewskim się bawiła i nie pomału namawiał królowę, barwiąc rozmaicie troskliwość swoją, żeby jej nie wypuszczała tak rychło od siebie; a gdy została żoną Klimunta, nie zaprzestał zalecanek swoich; owszem zdawało się jakby tylko on jeden nie poznawał się na przyzwoitém obejściu Anny, i na jej rzetelnem przywiązaniu do męża. Ledwie że nie codziennie ją nachodził, trudne płatnerzowi nakazywał roboty, nigdy nie kontent, wiecznie w nich znajdował coś do przerobienia i do poprawy. Klimunta nie raz sroga niecierpliwość brała, ale ścinał zęby i wstrzymywał ramię, przez wzgląd na tak wielkiego pana i na żonę, co mu często jego porywczosć wymawiała. Jednego razu, właśnie w ostatnich dniach

Lipca 1460 r. Tęczyński, który zawsze jakby szukał zaczepki, nakazał Klimuntowi cały rynsztunek wojenny, i żądał koniecznie na dzień bardzo niedaleki, mówiąc że bez zwłoki na wojnę jechać musi. Klimunt odpowiedział iż wygotuje jeżeli czeladź wypieszyć zdoła, o czem jednak bardzo wątpi. Jakoż gdy w dzień wymieniony Tęczyński przybył, robocie brakowało jeszcze wiele; a gdy pan kasztelan obelżywe słowa sypać zaczął na płatnerza i wszystkich mieszczuków, ten odpowiedział mu hardo; za to Tęczyński nie wiele myśląc, uderzył go dwa razy, w własnym jego sklepie, w obec czeladzi i żony, w oczach całego rynku; a kiedy Klimunt w passyi uchwycić go chciał by się pomścić, wymknął mu się, uciekł i nie zatrzymał się aż w kościele Ś. Franciszka, którego drzwi zawrzeć za sobą kazał. Obrażony płatnerz zawołał na gwałt, powstało natychmiast uliczne pospólstwo, przybiegli krewni jego żony i w krótkim czasie zebrało się ludzi jak mrowiu, a każdy wołał, że mścić się chce za zniewagę wyrządzoną, zacnemu ukochanemu obywatelowi, którego krzywdę uważać należy za krzywdę pospolitą wszystkiego miasta."Ruszyli tedy hurmem uzbrojeni jak kto mógł ku kościołowi Ś. Franciszka, wołając

wielkim głosem o wydanie Tęczyńskiego i szturmując do bram kościelnych. Napróżno królowa Elżbieta, do której Anna pobiegła po ratunek, posłała natychmiast rozkaz do rajców miejskich, aby pod karą 80,000 grzywien uspokoili pospólstwo a do jutra poczekali, dokądby sama sprawy onej nie rozeznała; nic nie pomogło, rozhukany lud dobył się gwałtem do zawartego kościoła, wyłamał drzwi wszystkie, a znalazłszy Tęczyńskiego w samym chórze, zamordował go bez litości. Nie dosyć na tem; w szale swoim pospólstwo wlokło ciało zabitego środkiem Brackiej ulicy, aż na rynek pod sklep Klimunta, a tam wśród krzyków i wysilań, opaliwszy głowę i brodę trupa z włosów, wyniosło go na ratusz i stawiło go na pośmiewisko, gdzie był tak przez dwa dni, dopóki przyjaciele nie upomnieli się o ciało i nie zanieśli do kościoła Ś. Wojciecha, z kąd go wkrótce wywieźli i w Książu pochowali. Syn zaś Tęczyńskiego (do którego jak się zdaje to upominanie najpierw należało) nie wielkiego widać serca, w czasie rozruchu przytał się był u wdowy jednej w piecu piekarskim, a gdy noc nadeszła, uszedł zdrowo z miasta.

Rzecz dziwna, rozruch cały skończył się na tem zabójstwie, i każdy zacząwszy od Klimunta,

wrócił do domu spokojnie do roboty swojej. Gdy zaś wieść tę całą doniesiono królowi jeszcze w Prusiech, uważył ją lżej może niż wypadało; czem jak mówi Strykowski, tak serca szlachty przeciwko sobie zaostrzył, że nawet odtąd mniej ochotnie zaciąg wojenny odprawiała. Wtedy pobudzony od stanu rycerskiego, Jan Amor Tarnowski, kasztelan Sądecki, poważną przed królem mową, rozwodził okrucieństwo zamordowania Tęczyńskiego, śmiałość niesłychaną mieszczan i króla do łez poruszył. Obiecał Kazimierz za powrotem surowo zbrodniarzy ukarać, którą to obietnicą rozjątrzone rycerstwo usmierzył. Jakoż skoro król zjechał do Korczyna na sejm, uczynić kazał sąd na rajców krakowskich o zabicie Tęczyńskiego, a gdy przyzwani stanąć nie chcieli, przywodząc iż Kazimierz W. warował im to w samym tylko Krakowie przed królem, a niegdziein-dziej sprawować się, osądzono ich w niebytności na gardło i 80,000 grzywien. Oni widać ten wyrok lekceważyli sobie, bo żaden z Krakowa ani się ruszył. Tymczasem, gdy król z końcem roku zjechał do stolicy, na początku nowego lata, znowu sąd w zamku na mieszczan krakowskich złożył. Stanęli wszyscy w wigilią Trzech Króli 5 Stycznia 1461 r. a po kilku dniach Mikołaj Pieniążek,

starosta krakowski i Gajewski, kasztelan kaliski, zesłani zostali z następującym dekretem z zamku do miasta: cztery osoby z między rajców krakowskich:

Konrad Lange,
Stanisław Lamiter,
Marcin Bełza,
Jarosław Szarlej.

Sześciu z pospólstwa:

Jan Teszner,
Jan Wolfram, kuśnierz,
Jan Malarz,
Jan Szerlang, ślusarz,
Rotmistrz sług miejskich;
Klimunt, płatnerz,

skazani są na ścięcie głowy.

Jakoż zamknięci zaraz zostali wszyscy dziesięciu w zamku w wieży, którą zwano Tęczyńską wieżą; dzień 15 Stycznia, wyznaczono potajemnie na ich kary, a podwórze pod wieżą na miejsce wykonania wyroku, aby snadź nowe zamieszania w mieście nie powstały, gdyby ich publicznie karano. Wszyscy dziesięciu gotowali się na śmierć, przyjmując pobożnie Pańskie świętości; przecież gdy nadszedł ów okropny dzień

piętnasty, sześć tylko głów padło pod mieczem katowskim:

Konrada Langa,
 Stanisława Lamitera,
 Jana Szerlanga,
 Jana Malarza,
 i Jarosława Szarleja,

Teszner, Wolfram i Marcin Bełza więci zostali przez syna zabitego Tęczyńskiego i trzymani pod strażą w zamku jego na Rabsztynie. Dziesiąty, a nas podobno najwięcej obchodzący Klimunt płatnerz uciekł cudownym sposobem; jak wieść niesie, żona kochająca ułatwiła mu tę ucieczkę; otrzymawszy od królowej pozwolenie odwiedzenia go raz jeszcze, poszła do więzienia z synkiem a potem przebierając się w mężowskie suknie, sama została, a jego wyprawiła w niewieścich szatach z dziecią na rękę, i wyszedł szczęśliwie z zamku i z miasta. Ujęta tym czynem Elżbieta, gdy fortel odkrył się, wyjednała u króla łaskę Anny i pani Klimuntowa udała się za mężem do Niemiec, gdzie już oboje na zawsze zostali. Lecz starego ojca Anny, Jarosława Szarleja ani trzy córki, ani prośby królowej uratować nie zdołały. Jeździła Elżbieta sama do zamku Tęczyńskiego, a odprosić gardła jego nie mogła. Kiedy

Klimunt płatnerz, pierwszy sprawca wszystkiego uciekł, żądał koniecznie syn zabitego, aby teść za niego pokutował. Od pieniędzy snadniej odstąpił Tęczyński; zamiast 40,000 których zrazu się dopominał od rady krakowskiej, jako połowę pieniężnej winy od królowej zarzuconej, przestał na 6,000.

Tak się skończyła przygoda z której, albo dramat, albo też powieść historyczną jak i Walter Scott polski ułożyłby snadnie.

Ta przygoda opisana jest jedynie z kroniki Kromera i Strykowskiego, a prócz osoby Anny, wszystkie inne były istotnie. Należałoby jeszcze inne kroniki i herbarze przepatrzyć, a nadewszystko akta miejskie Krakowa; tam zapewnie wiele nieocenionych szczegółów dojśćby można. Na wyświecenie dokładne jednej takowej przygody, nie zanadto lat kilku; ale też wtedy dopiero, można dzieło nazwać historycznem, a pracę użyteczną.

V.

MYŚL DO POWIEŚCI POD TYTUŁEM

HELENA.

Po Karolinie, gdzie wystawiłam prostoty konającej obraz i życie ładnej a cnotliwej mężatki, po Krystynie, gdzie dla panien jest wzór, zostaje mi jeszcze zrobić powieść dzisiejszą dla panien, które idą za mąż. Będzie tedy Helena; wezmę ją z owych majątniejszych familij szlacheckich, które się już trochę mają za magnatów. Rodzice i ona zfrancuzieli, przyjęli *bon ton* i *bon genre*, jak może być. Matka odumarała ją młodą, dzieckiem siedmioletniem, nic po niej nie ma tylko francuzkie pamiątki, pacierz francuzki. Ojciec trochę podobny do matki, pokazał się przecieź przy zdarzonej sposobności godnym człowiekiem i umarł w dalekich krajach; brat jego pisuje czasem do synowicy ale także po francuzku. Ona rozmaite przechodząc

koleje, po największej części za granicą przy guwernantkach francuzkich lub angielskich protestanckich, dostaje się wreszcie mając lat siedmnaście, wujence, wdowie po bracie matki, która obiecuje dołączyć własny swój majątek do jej milionowego posagu.

Podróżuje potem z wujenką, bierze metrów w każdej stolicy, kieruje się na cudo, partyi ma pełno; francuz uczy ją mazurka; posiada języków kilka, polskiego prawie nic, choć myśli że po polsku umie. Historii polskiej uczyła się po francuzku, imię Lech, wymawia *Lek*, imię Jagiełło, *Zażello*. Mówi z łatwością obcym językiem, bazarze szkaradnie; wszystkiego ma wyobrażenie, ale nic nie zna gruntownie; pracować nie lubi, sypia długo, próżności ma wiele, ubierać się lubi, bo w stroju daleko ładniejsza. Za zabawami przepada; ale że ma łatwość do wszystkiego i pojęcie, oraz dobrych metrów, wydaje się nie źle w oczach wielu i we własnych bardzo dobrze.

Co do jej uczuć, myśli że pobożna, mówi pa-cierz rano i wieczór, zna ozdobne książki francuzkie np. *Imitation de Jesus Christ i Evangile illustrée*; czy je czyta i jak czyta, nie wiadomo; czy zgłębia życie? bynajmniej. Ani chce myśleć że kiedyś będzie nie młodą, że przestanie być

ładną, że się nie podoba. Kokietką bezwstydną nie jest, ale na swoją potrzebę; inna zupełnie z mężczyznami, inna z kobietami. Kiedy się nie podoba, lub nie ma się podobać komu, nudzi się okropnie. Co do ducha, toż samo. Zdaje jej się że jest dobrą Polką, bo nie lubi w kraju siedzieć i patrzeć na nędzę. Kiedy jej się ktoś zapytał, czy żałuje że się urodziła Polką, odpowiedziała: że nie, *car c'est intéressant* być Polką. Czasem coś wyhaftuje, wyrysuje na loteryą dla biednych ziomeków, ale z losem stryja już się oswoiła. Tańczy, bawi się, i tu trzeba dać obraz niektórych domów za granicą, i mnie nawet, obraz tych dziwnych uczuć i słówek, które zetknięcie się z gronem biedniejszych ziomeków, naszym Polkom podaje. Wujenka im złorzeczy i mówi skrycie, że Paryż byłby *délicieux*, gdyby ich tam nie było; słowem wyjawia zdania nie koniecznie godziwe, ale ubarwione. W jednym z sławnych ludzi widzi brud, w drugim starość, w innym złą wymowę francuzką np. *la chansonne-vielard*; szydzi z tytułowej pani co się nie wstydzi omnibusami jeździć.... W bratance jej, jednak jest piękny zaród, nieszczęścia rodziców wyjednały jej jakiś rodzaj chrztu u Boga. Te wszystkie uczucia długi czas w niej uspięne, budzą się w Pa-

ryżu i budzi je miłość, człowiek prawy, nie piękny, nie majątny, ale co się zowie do rzeczy. I tu wystawić czemby mogły być kobiety, gdyby mężczyźni byli jak należy. Zawraca jęj głowę cnotą, pobożnością, obywatelstwem. Świat inny otwiera się przed nią, zdaje jęj się że nie jest godną jego. Daje mu słowo, że nie pójdzie za niego, ale że nigdy kogo innego żoną nie będzie. Tu obraz jęj wydoskonalenia jako chrześcijanki, jako rodaczki, jako kobiety. Wujenka ani chce o tem słyszeć. Następują prześladowania, odrzucania różnych partyj, nareszcie uwieńczoną zostaje stałość; wujenka umierając na zamęźcie pozwala. Po kilku miesiącach zamęźcia Helena czuje, że zostanie matką i dla tęg córki którą nosi, pisze sama swoją historyę, bo potem karmiąc sama, hodując dziecie, nie będzie miała czasu. Tęg formy koniecznie potrzeba, bo mnie z wielu skrupułów uratuje i dzieło dostępniejszem całemu krajowi uczyni. Młoda kobieta może wielu rzeczy nie wiedzieć, o wielu zamilczeć; mnieby nie wypadalo.

Główny cel mój będzie, podać w rękę naszym młodym paniom książkę, któraby im oczy trochę otworzyła, i tym które jeszcze nie wytepiły w sobie szlachetnego zarodku, pokazała ich obowiązki. Dołączyć do tego obraz miłości wzajemnej, miło-

ści chrześcijańskiej. Jeżeli zaś jak wszędzie u mnie nie będzie wielkiej intrygi, wielkich charakterów, to ratować się będę szczegółami, obrazami, prawdą, zbierając piękne czyny, piękne uczucia. Zakończę myślami, jakie ma plany Helena na wychowanie córki, jak urządza dom swój, jak osiada w Galicyi. Oboje pełni tęsknoty, ale też pełni nadziei, wiedzą że krajowi, trzeba przechować prawych ludzi.

VI.

HISTORIA BRZOSKWINI I JOHALKI.

Otóż i ja zamiast bajki, prawdziwą wam opowiem historią ; ale nie wesołą , bo gdzie szukać wesołych w dzisiejszym czasie? Dwie główne będą role w mojej powieści ; z tych jedną zajmie drzewo, a drugą Halina. Opowiem wam przeto historią drzewa i młodej kobiety: obaczycie jak szczególnym trafem zespoliły się te dwa tak odmiennie na pozór stworzenia.

Było ludzi dwoje, słodkim i świętym węzłem miłości w małżeństwie złączonych. Do ich szczęścia nie brakowało niczego, tylko dziecięcia; narreszcie po trzech leciech pożycia, dał im Bóg śliczną i zdrową córeczkę. Nie było tego rodzaju obchodu, nie było téj pamiątki któremi by nie chcieli uczcić, uwieńczyć dnia narodzin tak długo oczekiwanej Haliny, a między innemi ojciec

w pierwszą godzinę jej życia, w doniczkę świeżej i dobrej ziemi wsadził pestkę brzoskwini, mówiąc: „Niech razem i pomyślnie rosną.” Jakoż tak się stało — widziałam oboje — i drzewko i dziecię rosły szczęśliwie. Kiedy Halinę z pieluch wyjęto i od piersi odsadzono, wtedy prościuchną gałązkę brzoskwiniową z pestki wyrosłą, wyjęto z doniczki i posadzono wśród ogrodowych płonek. Obie zabrały na tej zmianie i jakby zabrały się do życia; w parę lat potem, kiedy już w Halinie troskliwa matka karcieć dziecinne wady zaczęła i wpajać w jej młodą duszę zasady wiary i cnoty, biegły ogrodnik obciął wybiegłe gałązki brzoskwiniowej płonki, a w dziką dotąd roślinę zaoczkował zaraz najwyborniejszego tego rodzaju owocu. Jak drzewo, tak dziewczę przyjmowało w siebie udzielone dobro; a roślina skorsza w wywdzięczeniu się do broczyńcom, w piątym roku okryła się kwieciami. Radość była powszechna, troskliwość wielka nie tylko rodziców, ale samą nawet Halinę, która już wiedziała że to jej drzewo i zapewne wystawiała sobie w niewinnej prostocie, że jej wolno będzie zjadać wszystkie owoce. Ale chociaż kwiat zmienił ją szczęśliwie w związki, chociaż przez całe lato rosły pomyślnie brzoskwini, choć już wyglądać trzeba było chwili, kiedy ta królowa owoców

dojrzej, przecieź nie użyli ich ani rodzice, ani Halina, ani nikt z ludzi. Działo się to, jak zgadnąć łatwo, w naszej Polsce, gdzie o wojnę, o przechody wojsk nieprzyjacielskich nie było trudno; był to rok 1812. Rodzice Haliny odbiedz musieli posiadłości swojej, a cały ich dóm, cały ogród, a z nim i drzewko bratni stały się pastwą rabunku i spustoszenia; nikt tam już nie trafił, nikt nie znalazł miejsca gdzie było. Podobny okazał się los Haliny, tylko o lat kilkanaście spóźniony. Wyszła jak najpomysłniej, troskliwe rodziców starania nie zmarniały, wszystkich cnót i przymiotów dusza jej była mieszkaniem, a ładna twarzyczka, świeża, rumiana jak żywa brzoskwinia. Według życzenia rodziców, według serca, poszła za męża i właśnie cieszyła się nadzieją pierwszego dziecięcia, kiedy nastąpił inny porządek rzeczy. Namiętna, wrażliwa, ale nie dość hartowna do wytrzymania różnych uczuć, już słabą będąc, powiła synka; pokarm jej musiał być szkodliwy,—dziecię umarło na jej rękach i ona wkrótce za niem poszła, a dziś, jak z jej popiołów, tak z jej drzewa garstka już prochu została, żal niewygasły rodziców.

VII.

OPIS PODRÓŻY DO WŁOCH

VII.

OPIS PODRÓŻY DO WŁOCH.

Nie wiem czy to dobrze czy źle robie przesyła-
jąc tobie takie obszernie. Dzieło poważne i uży-
teczne jako dydaktyczne, ale poprzedy trudne mi
zrobić jeszcze). Rozumie okoliczności pozwoliły

Wskazywać na to, że jest to dzieło, które ma być
nie tylko dla Ciebie, ale i dla innych, którzy po
kiedyś będą mieli ochotę na taką podróż do
Zachodniej Włochy. W tym celu do tego opisu
włożyłem kilka dodatków, które mogą być
użyteczne dla Ciebie i dla innych, którzy
będą mieli ochotę na taką podróż do
Zachodniej Włochy. W tym celu do tego opisu
włożyłem kilka dodatków, które mogą być
użyteczne dla Ciebie i dla innych, którzy
będą mieli ochotę na taką podróż do
Zachodniej Włochy.

VII.

OPIS PODRÓŻY DO WŁOCH.

VII.

OPIS PODRÓŻY DO WŁOCH

w r. 1844. *)

Kilka słów do Czytelnika.

Nie wiem czy ja dobrze czy źle robię przerywając sobie dzieło obszerne, dzieło poważne i użyteczne taką błyskotką; ale doprawdy trudno mi zrobić inaczej. Rozmaite okoliczności dozwołyły

*) Niniejszy ułamek jest ostatnią literacką pracą Autorki. Nie dokończyła jej z powodu słabości zdrowia, która po kilkumiesięcznych cierpieniach, powiodła ją nareszcie do grobu. Znaleźliśmy tylko w jej papierach plan do tego *opisu* w ten sposób skreślony: „Gdybym, miała czas, napisałabym, „o téj naszej podróży Listy w guście tych, które francuzcy „dzisiejsi pisarze posyłają z drogi do sławniejszych dzienników na feljetony. Ale to bieda, że oni nadstawiają niedokładność dowcipem, a ja tego wielkiego resursu nie mam.

mi wypełnić w tym roku oddawna marzony i kreślony plan pojechania na czas jakiś do Włoch; wierna postanowieniu oddania reszty mego autorskiego życia napisaniu „Zbioru wiadomości potrzebnych dla kobiet,” rozpocząwszy właśnie z początkiem tego roku „Historję powszechną,” wzięłam z sobą (ujmując miejsca wygodom i strojom) wszelkie rękopisma i książki do dalszego jęj ciągu potrzebne; a skorośmy w jakim mieście parę tygodni posiedzieć mieli, dobywałam starannie wszystkich moich naukowych przyborów, rozkładałam się z nimi jak kupiec z towarem i zabierałam się do pisania. Było to trzy razy; ale cóż się stało z każdym? Oto praca która mi szła tak mile i ła-

„Jednakże nowością w polskim języku dużo rzeczy popechnąć można; ułożę tu sobie w jakiejbym np. kolei te listy pisała.
 „I. Wyjazd z Paryża—Belglja— Drogi żelazne— Bruxella
 „i t. d. II. Antwerpja—Gand—Malines—Bruges—Przejazd
 „do Kolonii. III. Podróż Renem—Manheim—Heidelberg—
 „Freyburg—Constance—Spadek Renu—Szafuza. IV. Zü-
 „rich—Lucerna—Rigi—Bern—Friburg—Payerne Mo-
 „rat. V. Oberland—Intèrlaken i t. d. Droga do Lozanny
 „przez Simmenthal. VI. Lozanna—Genewa—Leman.
 „VII. Wyjazd do Włoch—Droga Simplonu od Villeneuve do
 „Medyolana. VIII. Mediolan. IX. Genewa i droga do Flo-
 „rencyi. X. XI. XII. Florencya.“

Przypisek wydawcy.

two w Paryżu na mojem dwunastoletniem biórku, przy widoku różanego ogródka, na tych nowych miejscach żadnym sposobem przystąpić do siebie nie dała i mimo największych usiłowań z mojej strony, odpychała mnie zupełnie. Z początku nie wiedziałam sama czemu to przypisać, bom jeszcze nigdy takiego buntownika w mojem państwie nie dostrzegła; do téj pory uwaga, ochota do pióra, zawsze na zawołanie moje były. Nareszcie zmiarkowałam, że tak się zrobiło w mojej głowie, jak to czasem w naszych wiejskich dworach się dzieje; goście wypędzali gospodarza, trzeba więc było koniecznie czekać ich wyjazdu; a ponieważ z autorskiej głowy myśl wyjechać precz nie może, póki jej się piórkiem nie ubierze i w świat nie puści, przekonałam się, że do mojej *historyi powszechnej* póty wrócić nie będę mogła, póki nie opiszę, nie podam do druku rzeczy, którem teraz widziała, na które obecnie patrzę. Ulegam więc na ten raz ostatni, i ogłaszam ten opis mojej podróży. Nie jest to bynajmniej żadne dzieło, nie ma w niem obrazu ani Belgii, ani Szwajcaryi, ani temnziej Włoch: jest to proste opowiadanie naszej skromnej podróży przez te kraje i myśli jakie w jej ciągu przychodziły. Mało też kogo ta praca moja

czego nauczy, oświeci, może nikogo nie zajmie;
ale kiedy już tyle pisałam dla drugich, niech mi
raz wolno będzie pobazgrać trochę dla siebie.

AUTORKA.

OPIS PODROZY DO WŁOCH

w r. 1844.

CZEŚĆ PIERWSZA.

I.

Wyjazd z Paryża — Lille — Gand — Bruxella — Antwerpia —
Mechlin i t. d.

Wyjechaliśmy z Paryża w imię Boże, dnia czternastego Czerwca 1844 r. w piątek; odprowadzało nas do dylizansu kilku życzliwych przyjaciół. Choć oddawna pragnąłam mocno tej podróży i słowo „Włochy” nabrało dla mnie wielkiego uroku, przecież na kilka dni przed wyjazdem i w sam dzień ciężar wielki miałam na sercu. Niech sobie kto trzyma jak chce o nasz, w rzeczy samej jesteśmy jakby jedną rodziną, jednym wielkiem

bractwem; i ja wiem że wyjeżdżając z Paryża, pewną byłam iż z krewnymi się rozłączam...

Planem naszej podróży do Włoch, nie było wcale dostać się do nich jak najprędzej i jak najbliższą drogą, lecz poznać za jednym zachodem jak najwięcej miejsc ciekawych, zwłaszcza pod względem sztuk i widoków pięknych, a obok tego nie opuścić żadnej sposobności odwiedzenia dawniej znanych spółbraci i poznania nowych. Umysliliśmy więc puścić się zamiast na południe, na północ do Belgii; po kolejach żelaznych zwiedzić jej celniejsze miasta z ich arcydziełami flamandzkiej szkoły i pomnikami gotyckiej budowy; z Bruxelli zatoczyć się do Kolonii, tam wsiąść na parowy statek i dopłynąć Renem do Manheimu, z Manheimu zboczyć do Freyburga w Bryzgowii, gdzie nas czekała przyjazna nam rodzina i nasz filozof Trentowski, i dopiero wyjechać do Szwajcaryi; kraj ten zaś, nietylko obejrzyć, ale posiedzieć w nim: parę tygodni w Interlaken, jaki miesiąc w Lozannie, siedzibie prawdziwie patryarchalnego domu i dopiero przy schyłku upałów ruszyć drogą Symplonu do Medyolanu; ztamtąd na Pawią, Genuę, Lukę do Florencyi, gdzie miała zakończyć się pierwsza część naszej podróży i gdzieśmy zamierzali kilka miesięcy zabawić.

Życzę z serca tym wszystkim co kocham i sobie
 samej nadal, aby wszelkie plany ważniejsze i le-
 psze tak się powiodły i zjściły jak ten nasz; a co
 więcej, udało nam się dopełnić go bez żadnego
 przypadku, bez szkody, a nawet bez nadzwyczaj-
 nego zdarzenia. Na tem szczęściu naszym, może
 czytelnicy moi stracą nie mało, bo przecie gdyby
 się było trafiło jakie roztrzaskanie maszyny paro-
 wój jak w Belgii, jaka burza na Renie, jakieś sto-
 czenie się w przepaść w Alpach, jaka napaść roz-
 bójników w Apeninach, a my z tego wszystkiego
 cało uszli, byłby opis téj podróży choć miejscami
 zajmujący; z przeproszeniem jednak waszem, ja
 wyzuwając się z wszelkiej miłości własnej autor-
 skiej, niezmiernie rada temu niedostatkowi przy-
 gód, proszę nawet codziennie o tę łaskę
 w modlitwie z Ołtarzyka zastosowanej; ona za-
 pewne takie błogosławieństwo nam zjednała i za-
 lecam ją śmiało wszystkim mnie podobnym pro-
 staczkom i nieprzyjaciółkom awantur w drodze
 i w domu.

Ale wracając się do pierwszego dnia naszej po-
 dróży, nie był on wcale przyjemny; pamięć smu-
 tnego pożegnania, upał, niewygody dylizansu
 wszystko to niebardzo rozweselić mogło; wyznaję
 nawet, że mało uważałam koło siebie, wiem tylko

żeśmy jechali przez *Senlis*, sławne swemi płótnami, przez *Compiègne*, gdzie kilka lat temu oglądała dobrze zachowane pokoje w których Napoleon przyjmował Maryę Ludwikę; przez *Cambrai* szczyzące się posągiem jednego z najnotliwszych ludzi, Fenelona, niegdyś tamecznego arcybiskupa i przez kilka innych fortec, jako to: *Donai*, *Péronne* i najmocniejszą *Lille*. Pięknie było widzieć ten łańcuch mocnych grodów strzegących z tej strony granice Francyi; zdaje się, jak gdyby troskliwi i przezorni synowie, ująwszy się za ręce, czuwali nad matką; lecz natychmiast myśl zwracała się z żalem gdzieindziej.

Lille, gdzieśmy nocowali w hotelu *du nouveau Monde*, wcale ładne miasteczko i ruch handlowy w niem wielki, przypomniało mi Wrocław i może z tej przyczyny podobało mi się. Ja bardzo lubię Wrocław, był on niegdyś polskim; dziś mieszkają w nim osoby drogie sercu mojemu i tyle tam niedawno słodkich chwil przeżyłam... Tak nie raz podobieństwo jakiej osoby do miłej nam od dawna, zabezpiecza jęj naszą życzliwość za pierwszym wejrzeniem.

Z *Lille* ruszyliśmy koleją żelazną do *Gand*, i niech żyje kolej żelazna! wyjechaliśmy o szóstęj rano,

a stanęliśmy jak najwygodniej przed dziewiątą w Gand, mil jednak dwanaście; a jeszcze przeszło godzina zeszła na przeglądzie, ważeniu, spisywaniu rzeczy, gdyż dwie komory przebyliśmy. Belgia zaraz na wstępie przypadła mi do smaku; została już w moim umyśle tak na zawsze; możebym nawet nie chciała drugi raz do niej jechać i siedzieć długo, ażeby tego wrażenia nie stracić; tak przyjemnie i o rzeczach i o ludziach mózdz dobrze trzymać. Belgia jest to sobie jak wiadomo każdemu, kraj nie duży, nie potężny; ma pięćdziesiąt mil francuzkich rozciągłości największej z jednej strony, a trzydzieści pięć z drugiej, mieszkańców niespełna cztery miliony; ziemie z których złożona: Brabant, Flandrya, Biskupstwo Liège i t. d., dawno i głośno są znane w historii; lecz jój samo istnienie tak młode jak najmłodsza panienska, ma dopiero lat czternaście i jak utrzymują niektórzy, nie jest zupełnie pewne... Mimo tego wszystkiego, przedstawiła mi się i w polu i w mieście jako krajna wszelakiój swobody, dostatku, poczciwości i szczęścia. Mógłby kto znaleźć moje porównanie zbyt proste, ale przypatrując się jój i jój mieszkańcom, ciągle mi w myśli stawał ów rodzaj powozów wygodnych, schludnych, niskich, o jednym koniu, co to w Paryżu *demifortune* się zowią,

a któremi ich skromni właściciele tak wybornie po bulwarach i polach elizejskich jeżdżą, a nawet u dworu bywają, jak książęta i bankierowie najwspanialszemi landarami swemi. Kraj, mógł także łatwo trafić mi do serca; prawie wszędzie płaski, przypominał mi nasz i bez wątpienia Polska w znacznej części swojej gdyby tak była uprawna, tak umajona drzewem owocowem, mogłaby zupełnie być równie piękną i obfitą. Prócz tego drogi żelazne, któremi Belgia jest na wszystkie strony poprzecinana (ma już bowiem do 150 mil tych kolei), nie są tak szerokie, tak często śród odłogów i wąwozów prowadzone jak francuzkie; owszem, przechodzą wskrós wsi, czasem wskrós miasteczek; mają przeto coś więcej, że tak powiem domowego, naturalnego w sobie, a może dla tego że wolniej po nich jeżdżą, że przypadki są rzadkie, a mieszkańcy zupełnie z parą oswojeni, nie zachowują żadnej ostrożności: łatwiej zapomnąc tocząc się po nich, że to nie „boży gościńiec” *). Kiedyś ja widziałam Angielkę która rysowała okolice z wagonu; już i ta musiała zapo-

*) Wiadomo, że nasi chłopci mazowieccy zwykli nazywać te drożki co to ze wsi do wsi prowadzą, a które nie wiadomo kiedy i kto zrobił, „bożym gościńcem”.

mnieć jak sztuczna i niebezpieczna siła pcha cały zaciąg. Co także przyłożyło się do miłego wrażenia jakie Belgia mi zostawiła, to pierwsza niedziela przepędzona w Gand. Z krajami i miastami tak podobno się dzieje jak z ludźmi; obacz pierwszy raz młodą osobę starannie przybraną, modlącą się rzewnie, a potem bawiącą się przyzwoicie, choćby nie była nadzwyczajnej urody, pewno ci się podoba. W podobnem świetle Gand mi się przedstawił. Po śniadaniu w hotelu *de la Poste*, wyszliśmy na miasto; całe już miało tę barwę świąteczną, tę postać uroczystą, niedzielną, od której mieszkając długo w Paryżu mimowolnie się odwyka, ale która inaczej przyzwyczajonym i nauczonym z dzieciństwa, nie przestaje być lubą. Sklepy były pozamykane, wszystkie roboty zawieszane, ulice pozamiatane, każdy starannie ubrany, dążył do kościoła w milczeniu z książką w ręku, dzieci nawet szły poważnie. Poszliśmy i my do katedry; wielka msza właśnie zacząć się miała; dom Boży pełen był ludzi i to ludzi w komplecie, bo nie samych kobiet i dzieci, byli i mężczyźni różnego wieku; a jak się na Bożym świecie dzieć zwykło, było więcej ubogich niż bogatych. W innych kościołach, jako to: ŚŚ. Mikołaja, Michała, Piotra, Jakóba dokąd zaglądaliśmy już raczej z ciekawo-

wości jak z nabożeństwa, zastawaliśmy wszędzie modlących się; a kiedy już po niesporach wrócić nam wypadało do katedry ażeby ją dokładnie obejrzyć; jeszcze nie była próżna, jeszcze odbywała się w niej w najlepszą chwałę Boską. Na środku kościoła kapłan tłumaczył zasady wiary licznie zebranym i siedzącym kilkoma rzędami starszym już dzieciom, w kilkunastu kaplicach kobiety przyzwoicie ubrane, znać wyższego stanu, uczyły mniejsze ubogie dziatki od lat może czterech do siedmiu pacierza, przykazań, sakramentów, zgoła techniki katechizmu, nie wdając się bynajmniej w jej wykład. Bardzo mnie ujęło to prawdziwe zastępstwo matek, ta dobrze zrozumiana pomoc niesiona kapłanom w ich trudach; a jakby je łatwo naśladować po naszych miastach i miasteczkach? umówić się w kilkanaście znajomych, i co niedziela, co święto po skończonem nabożeństwie chodzić do kościoła, gdzieby już pleban wydzielił każdej stosowną gromadkę do nauk; tam zając się cierpliwie choćby przez godzinę, a w parę miesięcy czasu tyle ust dotąd jakby niemych, otworzyłyby się ku czci Pana. Przez resztę dnia chodząc po ulicach, po ogrodach miasta Gand, nigdzieśmy pijatyki, kłótni, najmniejszej nieprzyzwoitości nie widzieli; lud który się mo-

dlił rano, w wieczór bawił się ochoczo, ale skromnie; ile nam się zdarzyło zbliżyć do niego, okazywał się rzetelny, uprzejmy. W sklepie tabacznym, kupcowa proszona o pięć cygar, dawała darmo szóste, mówiąc iż w zwyczaju jest takowy przyczynek. Kogokolwiek spytaliśmy się o drogę, lub o objaśnienie czego, odpowiadał chętnie i z rozgarnieniem, a trafili się i tacy co nas chcieli prowadzić choćby daleko bez żadnej nagrody. Zakłady publiczne jak np. Casino (gdzie bywają pyszne wystawy kwiatów, gdyż Gand słynie z ich zamiłowania) i ogród botaniczny, otwarte były i bez straży; znać po wszystkim lud nie psotny, nie zepsuty, szanujący cudzą i publiczną własność.

Lecz co mi się w tém mieście nie podobało, to ów tyle głośny i dawny zakład *Beginek* (Begines). Takowe stowarzyszenia kobiet są w całej Belgii i w Niderlandach; w Gand jednak podobno najliczniejsze, bo jest tych siostr przeszło sześćset. Beginki założyła Ś. Begga, księżna brabantka, zmarła jeszcze w r. 689; celem jęj było zapewnić przyzwoite i pewne schronienie pannom nie mogącym czy nie chcącym iść za mąż, nie żądając od nich ślubów wieczystych, innych obowiązków im nie naznaczyła prócz odbywania pewnych nabożeństw, noszenia czarnej sukni zakonnęj i kwefu

flamandzkiego, dźwigania trumien zmarłych towarzyszek do grobu i utrzymywania się własnym kosztem, czy pracą. Każda tedy Beginka, musi przy wejściu okazać dostateczny swój fundusz, ażeby nie była ciężarem stowarzyszeniu; ale jeżeli ma więcej, wolno jej go wydawać według upodobania swego. Ztąd poszło, że każdy Beginhof, jak zowią dotąd po flamandzku te domy, czy klasztory, przedstawia obraz miasteczka; którego mieszkańcy nie są równi jak zwykle bywa w podobnych zakładach; bo w takim miasteczku, a raczej grodzie niewieścim, opasanym murem, przedzielonym uliczkami, z kościołem na środku, wynoszą się rozmaite zabudowania, tém najwięcej podobne do siebie, że każde jest oznaczone liczbą i obrazem jakiego świętego lub świętej; jedne Beginki majątne mają ładne własne domy z ogródkami, drugie mniej bogate, szczuplejsze, a trzecie najuboższe mieszkają razem w dużych domach pod jednym dachem, i w jednej gotują kuchni, w jednej sali jedzą, tylko każda ma swój pokój sypialny. Do odwiedzenia Beginki osobno u siebie mieszkającej, trzeba jak do każdego prywatnego domu przedstawionym być przez kogoś znajomego; do mieszkających razem, przystęp dozwolony cudzoziemcom. Obszedłszy więc cały Beginhof

w Gand, obejrzawszy schludny kościółek, weszliśmy do takiego spólnego domu mieszkania trzydziestu Beginek i trafiliśmy właśnie na ich obiad. Może ten traf pomyślny na pozór, był przyczyną niełaski w jaką ten cały zakład wpadł u mnie; bo proszę sobie wystawić trzydzieści zakonnic, gdyż z ubioru tak wyglądają, z których każda koło jadła się krząta i to koło jadła nie dla chorych, dla starych, dla dzieci, ale dla siebie. Takie bowiem urządzenie tych wspólnych kuchni i jadalni. Jest najprzód wielka izba, a w około na podmurowaniu kaffowem, trzydzieści piecyków, czyli fajerek z węglami; każda Beginka ma swój piecyk, swoje garki i rądelki i gotuje sobie; w przyległej zaś sali jest trzydzieści szaf z klapą, szafa służy za kredens, aptekę, spiżarnię, a klapa za stół; każda Beginka nakrywa ją, zastawia, znosi swoje potrawy, siada i zajada. Prawdziwie, nie raz to i zabawny był widok jak te trzydzieści pań-kucharek krzątają się, smażą, pożywają; przypominały mi się zabawy dziecinne, w gospodarstwo, tylko że i dzieci prawdziwie nie sporządzają nigdy przysmaczków swoich dla samych siebie; po ugotowaniu, pani, kucharka i goście, zasiadają razem i jedzą. Wreszcie, jaka nieodżałowana strata czasu! nad czem trzydzieści się trudzi, toby jedna z kolei

zrobiła i pewno z mniejszym kosztem gdyby spólny stół miały. Kiedym to świadomszym osobom przedstawiała, odpowiadały mi: że owo krzątanie się jest całym szczęściem nie jednej Beginki; że inaczej nie mogłaby każda jadać co jej zdrowo, co lubi, że to sposób zapobieżenia kłótniom między kobietami, które ślubów nie robią i innej władzy nie podlegają, tylko tej co nad ogólnym porządkiem czuwa. Być to wszystko może, lecz te same powody już są bardzo samolubne, ziemskie, że nie powiem żołądkowe, a ten cały zakład nie ma wcale swego ducha spólności, zgody, poświęcenia, które cechują zwykle wszystkie towarzystwa klasztorne. Ktoby tam wreszcie w powszedni dzień przyszedł i zastał Beginki przy robocie, (bo te co spólnie mieszkają, przysparzają sobie robotkami dochodów, i zwyczajnie w jednej sali pracują), ten by może inne uniósł o nich wrażenie; ja przyszłam w dzień świąteczny, w czasie jedzenia; com widziała, czegom doznała to piszę i nie moja wina, że Beginhof został w moim umyśle wcale nie jak klasztor, tylko jak osada „starych panien” w całym niekorzystnym znaczeniu tego przydomku.

Opisując Gand będąc w nim, nie godzi się zapomnieć ślicznego ratusza gotyckiego: pomimo

Jeszcze z piętnastego wieku. Zwiedziliśmy jego starożytnie sale; najciekawsze może w nich ogromne miecze któremi kaci ścinali głowy winowajcom przez długie wieki, a które dziś wiszą na ścianie zardzewiałe; dziwna rzecz, widok takich zabójczych narzędzi, powinienby wstręt obudzać, zwłaszcza w kobietach; nie, ciekawość mocniejsza w takowych razach nad czułość, i oczy mimowolnie tam patrzą i jeszcze śladów krwi szukają. Dodał też ceny owym mieczom dozorca, opowiadając nam treść będącego w tej samej sali obrazu. Stać się to miało w trzynastym wieku. Był jeden kat strasznie surowy, gorliwy i silny, trafiło się że ojciec jego popełnił wielką zbrodnię i skazanym na śmierć został; on powiedział że zentnie głowę własnemu ojcu i stanął jak zwykle na rusztowaniu przed tłumnie zebranych ludem. Ale kiedy ojciec już ukląkł i położył swą głowę na okropnym pieńku, a syn podniósł rękę, miecz zabójczy (jeden z tych co tam wisiął na ścianie) wyszedł sam z rękojeści, padł z brzękiem na ziemię i kat struchlały widząc cud, skonał w tejże chwili. Ojcu darowano życie którego dokonał świątobliwie w ostrój pokucie.

Niegodziłoby się także nie wspomnieć raz jeszcze o katedrze, czyli kościele Ś. Bawona; jest to

jeden z szacownych gmachów gotyckich, założony w dziewiątym wieku, skończony dopiero został w szesnastym. Zaleca się szczególnie kaplicami których jest dwadzieścia i cztery; najzodobniejsze te co w chórze, najszacowniejsza jedenasta z rzędu; tam parę godzin posiedzieć warto, tam jest obraz dziwnej, osobliwej, cudownej piękności, który pomimo żem od téj pory krocie obrazów widziała, tak jeszcze żywo odbija się w mojej pamięci, jak gdybym go miała przed sobą. Jest to obraz braci *Van Eyk*, wynalazców olejnego malowania i naj-sławniejszych miniaturzystów flamandzkiej szkoły; robili go lat dwanaście od 1420 do 1432 r.; widząc go, dziwić się należy iż tak prędko wykończyli. Myśl wzięta jest z księgi objawień Ś. Jana; wystawia on Baranka niebieskiego jak go otaczają aniołowie i cześć mu niosą święci i święte starego i nowego zakonu. Trudna do pojęcia rozmaitość, wyraz i wykończenie tych nieprzeliczonych twarzy, a nadzwyczajna świeżość farb przeszło cztery wieki mających, lecz najtrudniejsze i do pojęcia i do opisu wyraz i postawa Baranka; ma on coś prawdziwie mistycznego w sobie, i zdaje mi się, że tłumacze apokalipsy powinnyby w téj kaplicy pracować; pewnoby trafili na rzetelny wykład słów i widzeń Ewangelisty — proroka. Nad tym

obrazem, uznanym powszechnie za jeden z najszacowniejszych zabytków sztuki w średnim wieku i któremu znawcy tylko jeden błąd, brak perspektywy przyznają, jest trzy jeszcze tego samego pędzla: Zbawiciel na tronie w ubiorze kapłańskim, Matka Najświętsza i Ś. Jan; wszystkie trzy bardzo piękne, ale ich nie pamiętam, bo powtarzam, cudowny Baranek zajął mnie wyłącznie, a wpatrując się w niego, myśl moja była na wyspie Patmos i dalej jeszcze.... Te błogie marzenia, przerwał mi a wnet óprowadzający nas zakrystyan opowiadając nam różne szczegóły o tym obrazie. Darował go kaplicy Judocus Wyts, obywatel miasta Gand i żona jego, chociaż niektórzy mówią, że na rozkaz Filipa dobrego, księcia Burgundyi był malowany. Sława jego wnet ściągać zaczęła mnóstwo pobożnych i ciekawych; przybył między innymi Albert Dürer, ten patrząc na to arcy-dzieło, przez długi czas prosił o jedną łaskę, żeby mu wolno było pocałować go. Niedługo potem Filip II, chciał go koniecznie kupić za ogromne pieniądze, lecz kapituła się oparła i ledwo kopię zdjęć pozwoliła. W parę set lat potem skutkiem różnych przygód, cztery drzewiczki niegdyś go osłaniające i także przez Van Eyków malowane, dostały się królowi pruskiemu za 400,000 franków i są dotąd

w Berlinie; sam obraz (o czem zakrystyan z pewną dumą wspomina), zachwycił Napoleona i uwiózł go do Luwru, z kąd jednak po kilku latach wrócił na dawne miejsce swoje z wielką radością mieszkańców. Przez długi czas sznurem się ciągnął lud z miasta i z okolic witać skarb swój, swoją chlubę.

Miasto Gand szczyli się także tém, że w jego murach, w pałacu który stoi dotąd, urodził się Karol V, 25 Lutego 1500 r. Ujrzawszy tak na samym wstępie kolebkę tego wielkiego monarchy, obrałam go sobie wnet za nieodstępного towarzysza moich odwiedzin miast belgijskich i wszędzie najpilniej jego pamiątek szukałam. Jam zawsze lubiła w miejscach przez jakie przejeżdżam, upatrzeć sobie jednego sławnego człowieka, i przyłożyć tę jakby duchowną winietę do ulotnych postrzeżeń. I jak się teraz zastanawiam i przypominam sobie dawniejsze i obecną podróż, nie ma żadnej potrzeby upatrywania pilnie owój winiety; w każdym mieście jest jakaś taka wielka historyczna figura, która ci się sama nasuwa, jakby staje przed tobą; wszystko ci o niej przemawia, zdaje się, że powietrze nią tchnie i wszystkie inne figury bledną przy niej jak gwiazdy przy słońcu— Karól V panuje więc tak do dziś dnia nad Belgią. Tam nietylko się rodził, ale wiek dziecinny, pierw-

szą młodość spędził i choć później został po ojcu Filipie królem Hiszpańskim, a po śmierci bezdzietnej Maksymiljana I, cesarzem, zawsze Flandrya była mu najmilszą. Kiedy zwiedzając obszerne, a dalekie od siebie państwa swoje, musiał niemal całą Europę przejechać, do miast belgijskich na odpoczynek spieszył, przywilejami je obdarzał i nad ich pomyślnością najtroskliwiej czuwał. Jednak kto nie chce być jednostronnym, a przeto niesprawiedliwym, nie powinien znowu zwiedzając jakie nieznanie sobie miejsce, oddać się wyłącznie wspomnieniu jednej osoby z przepomnieniem drugich. Tak w Gand będąc nie należy pomijać pamiątek starszego o dwa wieki od cesarza Karola, Jakóba Artewelda, owego sławnego mieszczanina, który z niczego doszedł do wielkiego znaczenia, tyle blasku dodał swojej ojczyźnie, a przecież zginął z ręki rodaka. Dom jego ozdobiony tablicą z napisem, dotąd pokazują. Pięknym jest zwyczajem obcych narodów, iż nie tylko zachowują ale znaczą domy swoich znakomitych ludzi, pisarzy, malarzy, snycerzy, których ten zaszczyt spotyka równie jak i bohaterów. Gdyby przynajmniej w naszym Krakowie, ktoś życzliwy a możny, takich kilkanaście tablic położyć raczył; znalazłoby się komu. Jedną jeszcze osobliwością w Gand jest

armata, a raczej kusza olbrzymia z czasów Artewelda; ma być największa w całej Europie, ciskała ogromne naboje, a jak grać zaczęła, o pięć mil ją słyszano; dziś leży zmęczona, z paszczą otwartą i próżną, na placu targowym. Kiedym plac targowy wymieniła, niechże wspomnę o widoku jaki mi się tam pierwszy a zapewne ostatni raz w życiu przedstawił. Widziałam wielki targ na psy; tak były ustawione rzędem, prowadzone na sznurach parami i pojedynczo jak bywają inne zwierzęta. Z pierwszego wejrzenia, ten obraz prawie mnie oburzył: wiernych przyjaciół przedawać i kupować. Wnet jednak się dowiedziałam, że w Belgii, psy należą do roboczego inwentarza, zaprzęgane do wózków, pracują w polu i w mieście; przeto mają cenę raz przyjętą i weszły w handel.

Z Gand podług wszelkiej rachuby wypadało jechać do Bruges, owego miasta które ze wszystkich belgijskich zachować miało najwięcej charakter średnio-wiekowy, które posiada kilka gotyckich kościołów i publicznych gmachów, bardzo wiele rzadkich obrazów; ale dla powodów, które ledwo dziś pamiętam, a które wtedy bardzo ważne nam się wydały (jak się to zdarza nie raz nie tylko w podróży ale i w życiu) nie odbyliśmy tych odwiedzin, odwlekając je na później; nie sprawdziło

się jednak na nas znane przysłowie: co się odwle-
cze, to nie uciecze, i ja nie byłam w Bruges.

W nagrodę, w Bruxelii gościliśmy dni kilka; by-
liśmy w Atwerpii, a w Mechlinie (Malines) dwa razy.
Bruxella, przeszło sto tysięcy dusz mająca, ładnie
położona, bardzo sobie dobrze odgrywa rolę sto-
licy Belgii. Ulice szerokie, czyste, pałace, domy
wcale ozdobnej architektury, przechadzek kilka we-
sołych, jako to: Park królewski, ulica zielona,
ogród botaniczny, sklepy nie źle opatrzone, piękne
kawy; wozów i powozów dużo, nawet po Paryżu
ożywioną postać jej dają. Mówią że tu mieszkań-
cy cudzoziemcowi bardzo przyjemnie, chociaż życie
bardzo drogie; jest też wiele osiadłych Anglików,
ale co naszych ziomków, to zaledwie kilku. Oni
jednak podobno w Bruxelli chwile i myśli nasze
zajęli; dwóch zwłaszcza, których już głośnem się
stało, widywaliśmy często. Aż mnie rozrzewniło
i zdziwiło jak wiele i mało czas zrobił na nich
odmiany! Lat blisko trzynaście ich nie widziałam,
znać prawie drugie tyle na zbielejących zupełnie
włosach jednego, na poranej twarzy i zgarbio-
nej postaci drugiego, a w sercach i w uściech, ta
sama prawość co dawniej...

Z osobliwości Bruxelskich, trzy główne zostały
mi w pamięci, chociaż nie przeczę aby ich więcej

nie było; ratusz z rynkiem, zabytek czternastego wieku znakomitej gotyckiej architektury, z wieżą dziwnie udatną i lekką; kościół Ś. Guduli, patronki miasta, w którym szczególnież okna zwracają uwagę; i biblioteka zwana de Bourgogne z samych rękopismów i autografów złożona. W tych wszystkich trzech miejscach, ciągle się znachodzi najwięcej pamiątek po Karolu piątym; są jego napisy, popiersia, obrazy na rynku, na ratuszu i w ratuszu, a w znacznej liczbie sal ozdobionych malowaniami, obiciami i złotem, każdy z największem upodobaniem zapatruje się w tój, gdzie ów potężny monarcha znękany wielkością swoją, zrzekł się jój 7 Września 1556 r. i przedsięwziął spędzić resztę życia w klasztornej zaciszu. W kościele Ś. Guduli, także po kilka razy jego imię, jego postać widziałam, mianowicie w owych sławnych oknach, które bez wątpienia należą do najszacowniejszych zabytków tego rodzaju; wpatrując się szczególnież w te szklanne róże (rosaces), zdaje się prawdziwie, że nie ręka człowieka, ale jakiejś wróżki, roztoczyła olbrzymie i czarodziejskie kalejdoskopy swoje, że to chwilowy tylko, przemienny widok i te świetne barwy, te rozliczne kształty, lada moment znikną. W szybach zaś przedstawiających święte, lub historyczne obrazy, dostrze-

głam trafnego, a przynajmniej jak dla mnie nowego szczegółu; okno stanowi grunt obrazu; figury albo stoją, albo siedzą w oknie; jest w tem jakaś harmonia, jakieś podobieństwo które mnie wszędzie i zawsze ujmuje. W bibliotece de Bourgogne, choćby kto nie chciał, musi widzieć Karola piątego; chociaż założoną była pierwotkowo przez matkę Johannę, infantkę hiszpańską, troskliwą o umiejętne wykształcenie syna. Najpierw też pokazują odwiedzającym księgi z których on się uczył i te które umyślnie dla niego pisane były. Niezmierną miałam uciechę brać te księgi do ręki; przerzucać je i wystawiać sobie jak młode książętko ślęczało nad niemi, może i płakało czasem; bo jeszcze wtenczas nie była znana sztuka uczenia dzieci przyjemnie, a scholastyczna metoda najbystrzejszym dowcipom światło przyciemniała. Z tych ksiąg edukacyjnych Karola piątego, zastanowiły mnie najdłużej: wielka jakby karta w trzech załomkach i cztery ogromne tomy w których zbiór różnych wiadomości, dzieje święte i świeckie, powieści rycerskie, poezye, Bóg wie co, wszystko pisane jak najstaranniej na pergaminie i ozdobione obrazkami i wzorkami. Owa zaś karta o trzech załomkach, rodzaj naszych dzisiejszych potoków historycznych, zawiera genealogią z portretami kolorowanemi

wszystkich królów francuzkich, hiszpańskich i cesarzów niemieckich od początku aż do czasów Karola piątego, który tam wymalowany jako dwunastoletni młodzieniaszek na koniu i w zbroi. Może jak się tych wszystkich nazwisk, a osobliwie dat nauczył, w nagrodę dano mu konia i zbroję i wizerunek zrobiono w dodatku. Żal mi się zrobiło tak myśląc, czemu to nie jaki nasz królewicz, zarazbym napisała powiastkę o nim dla krajowych dzieci; lecz znowu pocieszyłam się przypomnieniem że i Karola piątego mistrzowie (choćaj jeden z nich, Adryan z Unrehtu później papieżem został) nie mogli być światlejsi i zacniejsi od nauczycieli poprzedzających go o lat czterdzieści, synów Kazimierza Jagiellończyka. Atoli skarby biblioteki burgundzkiej nie kończą się na zabytkach po królewskim uczniu, są tam jeszcze inne, z tych choć trzy wymienię: Księga do nabożeństwa Filipa dobrego z jego portretem i przeslicznemi malowaniami, jak mówią braci Van Eyków i ich siostry Małgorzaty robota; mszał napisany i suto ozdobiony farbami i złotem za staraniem Macieja Korwina, króla węgierskiego, owego opiekuną sztuk i nauk i żony jego Beatryxy aragońskiej; nareszcie psalterz jeszcze z trzynastego wieku, dar Jana księcia Berry ukochanej żonie swojej Ursynie, prawdziwy

kanak, oczko, kruk biały, o którym bibliotekarz bruxelski całą książkę napisał i pokazywał nam ze czcią jako prawdziwie biograficzne relikwie. Przyznać należy i literom i malowaniom piękność niepospolitą; na jednej np. karcie jest Matka Najświętsza z dzieciątkiem, a u dołu książkę Jan i dwie osoby klęczące; figury dobrze wyrysowane, kolorowane cudnie; ale toby jeszcze niczem było; rzeczą prawdziwie osobliwszą jest, że dnem tego obrazu jest ćma aniołów, malowana dwoma kolorami na szaro (en grisaille); spojrzawszy, wydaje się jak szare tło gładko zrobione; ale przyjrzawszy się lepiej i szkło powiększające przyłożywszy do oka, dostrzegasz chóry nieprzeliczonych aniołów, z których część jedna śpiewa, druga gra naróżnych narzędziach muzycznych, a każda najmniejsza główka ma kształt przyzwoity; pismo tego psalterza także bardzo foremne, oczywiście w łacińskim języku. Ile razy mi się zdarzy być w podobnej skarbnicy i przyglądać się bliżej starym pisanym książkom, napastuje mnie zawsze jedna myśl dziwna: oto szczery żal że się nie rodziła przed wynalezieniem druku; niezawodnie byłabym zasłynęła między najgorliwszemi kopistami i moje prace byłyby poszukiwane przez naszych Czackich, Bandtkich i Lelewelów; namiętnie lubię

przepisywać i wystawiam sobie z jakąbym ja to ro-
 koszą i swobodą rzeczy święte i świeckie, rzeczy
 cudze uważnie przenosiła po słówku na pergamin;
 a upodobane kartki zdobiła lekkimi kwiecistemi
 wzorkami. Dziś nawet gdyby mi okoliczności tego
 dozwalały, zajęłabym się natychmiast zostawieniem
 po sobie tego rodzaju pamiątki, i dziwię się bardzo
 tym naszym paniom, co to i czas i pieniądze mają
 i nie przyjdzie im chęć przysposobienia podobnego
 domowego klejnotu. Jakaby to była przyjemna
 praca utworzyć np. „Książkę polskich świętości”
 stosowną dawszy oprawę, spisać starannie goty-
 ckiemi literami cenniejsze pieśni i modlitwy nasze,
 zaczawszy od „Boga Rodzicy,” zebrać wizerunki
 świętych i błogosławionych Polaków i Polek,
 przejechać się po własnym kraju, przerysować
 wiernie obrazy cudami u nas słynące, dawne po-
 mniki grobowe pobożnych niewiast, jako to: Ja-
 dwigi, Anny Jagiellonki i innych; ozdobić to wszy-
 stko farbami i złotem. Już widzę te książki przed
 sobą; a ileżby czystych uciech przyniosło i droż-
 szą była pamiątką dla dzieci, od owych albumów
 w różnych językach, z różnemi Amorkami i Apoli-
 nami, za którymi nasze panie się ubiegają. Lecz
 odbiegłam daleko od biblioteki burgundzkiej. Sza-
 nowny bibliotekarz pokazywał nam jeszcze wiele

autografów; najstarszy jest dyplom króla Arnolfa z własnoręcznym jego podpisem z r. 893.

Malowaniami olejnymi Bruxella nie tyle się zaleca, chociaż ma kilkanaście prawdziwie pięknych obrazów, mianowicie: Rubensa w muzeum, Krayera w kościołach; ale za to Antwerpia prawdziwą jest skarbnicą flamandzkiej szkoły; tam amatorowi nawet, takiemu co się do Włoch wybiera, wartoby i tydzień posiedzieć. Już to w ogóle Antwerpia zajmujące miasto i jabył wolala mieć ją stolicą raczej niż Bruxellę. Najprzód jej katedra, pomysł Hans-Amela z czternastego wieku, w szesnastym skończona, ma słuszną sławę jednego z pięknych gotyckich kościołów; potem choć o kilkanaście mil od morza leży, za port uważaną być może; Skalda bowiem ma tak szerokie koryto u jej murów, że zupełnie wody oceanu przynosi, przypływ i upływ codzienny znaczny i ogromne okręty dźwiga. Port też antwerpski z sadzawkami swemi, dzieło Napoleona, ciekawem jesi miejscem; bawiliśmy tam parę godzin, a jeszcze odejść mi się nie chciało. Lubię to wszystko co mi o wyższości człowieka mówi; nie małym zaś jej dowodem owa odwaga, owo poleganie na sobie, na zręczności swojej, których tyle przykładów nastrocza się w każdym porcie. Tam codzień widzieć

można ludzi, którzy się powierzają dobrowolnie srogiemu, nie swojemu żywiołowi, ani się troskając że w jego łonie śmierć pewna, bo są przekonani że poradzą sobie. Ztąd zapewne wyniknął ów wyraz i układ śmiały i męzki jaki marynarze i rybacy mają zwykle w twarzy i w całej postawie i to upodobanie malarzy w powtarzaniu ich przygód. Nie w takie jednak obrazy obfituje Antwerpia; w jej kościołach, muzeach, galeryach prywatnych których liczą do dwunastu, najwięcej jak wiemy, jest dzieł mistrzów flamandzkich, a morszczyzny (marines) nie były nigdy ulubionym przedmiotem tej szkoły; francuzka w nich pierwszeństwo trzyma. Z owych mistrzów flamandzkich, Antwerpia szczyli się arcydziełami Jordaensa, Hemlinga, Seghersa, Rombusta, Wanosta, Wandyka, a osobliwie Rubensa, on jest prawdziwym królem Antwerpii; raz się udawszy w zwiedzanie jej ciekawości, wszystkie inne imiona rade nie rade jemu ustąpić muszą miejsca. Nietylko jego arcydzieła widzisz, ale dom, krzesło, grób i inne pamiątki, gdyż to wszystko ze czcią ci pokazują jakby po jakim patronie, czy opiekunie miasta. Może ta cześć powszechna jest temu przyczyną, bo w człowieku budzi się czasem jakaś przekora, ale nawet przypatrzwszy się w katedrze arcy-

dziełu jego, sławnemu zdjęciu z krzyża, nie mogę przypuścić Rubensa do moich ulubionych malarzy. W niesłychanej liczbie dzieł które zostawił i które wszędzie w każdej spotykasz galerii, znajdują się i bardzo piękne, zwłaszcza te co do włoskiej szkoły zbliżone, lecz w ogóle jest nadto zdrowia, nadto ciała, nadto wszystkiego w jego obrazach; w wielu zupełne zamieszanie i nieład, a niektóre z przeproszeniem, przypominają jatki. Nie można tego Rubensowi zaprzeczyć, życie jakby płynęło z pod jego pędzla; wpatrując się w jego twarze i figury, widzisz jak krew pod skórą bieży, lecz czyż dosyć żeby obraz tchnął życiem aby do serca przemówił? Ja daleko wyżej cenię nad Rubensa jego ucznia: Wandyka; temu już nie tak szło o czerstwość i zdrowie, jak o wyraz i piękność; pędzel jego jest też nierównie szlachetniejszy, a co się tycze portretów był doskonałym, a do tego arystokratycznym malarzem; kiedy Rubens i z cesarskich dzieci zdrowych chłopaków zrobić umiał, a z udzielnych księżen białe i czerstwe flamandki, Wandyk każdemu coś książęcego nadać potrafił; w wydaniu boskich świętych rysów, tak że zdaje mi się od mistrza szczęśliwszy. W tej samej Antwerpii, w kościele Ś. Pawła, jest wzdłuż nawy, w górze aż piętna-

ście rzędem zawieszonych obrazów, wystawujących życie Zbawiciela i Matki Najświętszej, ręki pierwszych malarzy; są tam dwa Rubensa, przecież całą moją uwagę ściągnął: „Chrystus upadający pod krzyżem” Wandyka, nimem nawet wiedziała czyje to dzieło. Skłonność moja do tego malarza utwierdziła się nazawsze w Malines. W kościele metropolitańskim Ś. Romualda, wcale pięknym i okazałym, jest w ołtarzu po lewej ręce obraz jego roboty, „Chrystus na krzyżu,” na który patrząc doznałam wrażenia jakiego jeszcze żadne malowanie dotąd i odtąd mi nie sprawiło; rozplakałam się rzewnymi łzami; zdało mi się zupełnie że jest na górze Golgotha, że widzę istotne spełnienie tej świętej ofiary.... Ten obraz uzyskał też u mnie zaszczyt, który jeszcze żadnego Rubensa nie spotkał; uwieźłam go i mam; wprawdzie nie na taki sposób jak Napoleon uwodził i miał arcydzieła które mu się podobały, na inny niezawodnie godziwy, a poniekąd więcej dogodny i pewny. Uwieźłam go nie w rzeczy, tylko w myśli; mam go nie w Luwrze, ale w głowie. Jak zamknę oczy, zbiorę uwagę, to go widzę nie ruszywszy się z miejsca. I w Bogu nadzieja, iż mi go nikt nie odbierze, chyba śmierć.... Wtedy też

nam, którzy tak szczęśliwi jesteśmy, że wierzymy, coś lepszego od obrazów jest obiecano....

Z miasta Malines, którego opisem nie jednąby kartkę zapełnić można, uwieźłam jeszcze drugi obraz; ten innego już jest rodzaju, ale także bardzo miły mojemu sercu. Nie daleko od drogi żelaznej (a wiedzieć należy, iż Malines jest zbieg wszystkich dróg żelaznych w Belgii), wznosi się schludny dom z ogródkiem; straż wojskowa, przypominająca barwą i krojem ułana, przechadza się przed nim, tam jest mieszkanie jednego dobrze m znajomego prawego człowieka, który zaletami swemi dosłużył się wysokiego stopnia, pozyskał miłość podwładnych, a przed kilkoma laty znalazł szczęście domowe, pojął żonę dobrą i ładną, żonę rodaczkę i dwojgiem dzieci się cieszy. O! często myśl moja przedstawia mi ten luby obraz; tak miło wiedzieć kiedy, aby dla jednego z drogich m osób, odsadzonych zupełnie od wszelkich uciech rodzinnych, rozwinie się kwiat serdeczny.

Ale coby powiedziały nasze piękne damy, gdyby przypadkiem rzuciły okiem na ten skromny opis, że ja byłam dwa razy w Malines, ani słówka o koronkach nie mówię; wam to zostawiam moje panie, i wiem, że mnie aż nadto zastąpicie i okiem i workiem, równie jak zostawiam naszym panom

statystom i artystom obszerniejsze wspomnienie o Belgii, jej rządzie, handlu, przemyśle, arcydziełach; ja nie znajdując już nic ni w notatkach moich, ni w pamięci, ruszam dalej i nie oprę się aż w Kolonii.

CZEŚĆ DRUGA.

II.

Droga z Bruxelli do Kolonii.—Żegluga Renem do Moguncyi.—Manheim. — Heidelberg.—Freiburg w Bryzgowii.—Spadek Renu.—Szafuza.—Powtórna żegluga Renem.—Konstancya.—Droga do Zürich.

Zamierzywszy dać wierny dyaryusz mojej podróży, nic innego powiedzieć nie mogę nad to: że wyjechawszy 21 Czerwca rano, znowu w Piątek z Bruxelli, nie oparliśmy się aż w Kolonii, w Pruskich jak wiadomo państwach, o szóstą w wieczór. Widzieliśmy wprawdzie w Louain śliczny ratusz, w Liège dziw tego miasta, kościół Ś. Jakóba, spędziliśmy parę godzin w Akwisgranie; ale ani tamtych miast, ani tego nad którym panuje od lat tysiąca olbrzymia i święta figura Karola Wielkiego, ani Kolonii, owego germańskiego Rzymu i jej tyle sławnej katedry, opisywać nie będę; na te wszystkie budowy, groby, krzesła, relikwie,

obrazy, napisy, patrzyłam z pośpiechem: co gorsza, z roztargnieniem; gdyż cała chęć moja, cała myśl była, żeby jak najprędzej wsiąść na statek i neutralnym Renem się puścić. Stało się to nareszcie w Sobotę rano i zapewne dni równie obfitych dla oczów, jak była ta sobota, mało w życiu mieć będę; i dobrze: bo wkrótceby oczów nie stało, wypatrzyłyby się. Czas był najpiękniejszy w świecie, pogoda bez skwaru, natura w czerwonej, to jest w doskonałej ozdobie, bo zieloną i dostatnią jej szatę stroiły wszędzie kwiaty, szczególniej róże. Płynęliśmy pod wodę; można więc było użyć całkowicie, użyć zwolna, téj tak znanéj, tak głośniej, tyle razy, tak pięknie opisywanéj *), ale nigdy nie przechwalonéj podróży Renem. Jam była pod zupełnym urokiem, zwłaszcza od Bonn, a więcej jeszcze od Koblentz; zdawało mi się snem, żebym ja sobie wygodnie siedziała, chodziła nawet, jadła obiad z sześćdziesięciu osobami na pokładzie; a podemną żeby płynęła jedną z rzek najwspanialszych, najbystrzejszych w świecie, koło mnie zaś, za mną, przedemną, żeby się roztaczały cudne, nieprzeliczone, coraz odmienne widoki; bo co tylko za-

(*) Obacz listy z zagranicy przez S. W.

żądać możesz, wszystko masz z kolei, wszystkie skarby przyrodzenia przedstawia ci Ren, ów monarcha, pan tyłu okolic; uprawne pola, kwieciste łąki, wioski schludne i nadobne, kształtne pałace wiejskie, ogrody i winnice, miasta dobrze zbudowane, wzgórza zielone, góry udatne wysokie, wielkie czarne lasy, skały strome i ogromne mchem porośnięte; a wszędzie, gdziekolwiek byś tego zażądać mogła, gdzie najwyżej, najniżej, ukazują się stare gotyckie kaplice, zamki, grody i wieże; jedne mniej, drugie więcej zniszczone, ale wszystkie przedziwnego malowniczego skutku i wszystkie cię zajmują; na wszystkie się wpatrujesz, za wszystkimi się oglądasz, bo niedosyć im na piękności: historia, religia, poezya, wrywają je sobie, a nie do każdej z tych rozwalin, sam Lelewel odszukaćby potrafił pewnego historycznego podania; legendę lub balladę każda ma swoją, którą ci powtórzyć gotów każdy przewoźnik. Jednak, co to jest człowiek? chociaż tak płynąc i patrząc, w ciągłym byłam podziwianiu tych cudów i nie przebierało się ich bynajmniej, przecież z wielką radością usłyszałam, kiedy już nad wieczorem sternik zawołał „Moguncya!” Miejsce gdzieśmy wysiąść i nocować mieli; kiedy przy promieniach zachodzącego słońca,

ujrzeliśmy ten gród starożytny z wieżami, mostami, cały jakby ozłocony; to były doskonałe i godne prawdziwie ramy do oglądania przez cały dzień obrazu. Tę radość moją, przypisać należy jeździe statkiem; lubo na pozór tak wygodna, że aż prawie idealna, ma jakiś ukryty zaród nudów. To używanie samemi oczyma, korci; nareszcie im piękniejsza okolica, tém jest w niej coś więcej tantalowskiego. Jadąc lądem, choćby też żelazną koleją, czasami wysiadam: postawiwszy stopę na ziemi, biorę ją jakby w moją posiadłość, mogę urwać kwiatek który mi się podobał, wejść do gmachu, dotknąć się drzewa które moją uwagę zwróciło; na statku nic z tego i przy mniemanej wolności czuję się większą niewolnicą niż w najciaśniejszym powozie.

W Moguncyi, która choć forteca związkowa (Bundesfestung) należy do W. Księcia Heskiego; chodziliśmy wiele, widziałam posąg Gutenberga, Thorwaldsena roboty, zamek i ratusz, ale najdokładniej katedrę. Kościół ten wspaniały i zajmujący, nawet dla tych co z Belgii i Kolonii jadą, bardzo godzien obejrzenia. Jeszcze jest bowiem z jedenastego wieku, a chociaż po spaleniu odbudowany w niektórych częściach swoich, ma wiele w sobie byzantskiego kształtu i kilka prawdziwych

pierwocin niemieckiej rzeźbiarskiej sztuki, wiele cenionych, jako to: drzwi miedziane i kilkanaście posągów. Z pierwszego wejrzenia nie podoba ci się ta barwa jego, bo się zdaje nowy, albo świeżo pomalowany czerwono; ale przekonawszy się iż to naturalny kolor kamienia obfitego w nadreńskich górach, godzisz się z nim, zwłaszcza dowiedziawszy się jak on już dawno stoi na tém miejscu. Twierdzą o nim uczeni, iż był to może pierwszy kościół chrześcijański sklepiony, gdyż bardzo długo w domach bożych dawano proste sufity jak w domach ludzkich, jako mniej kosztowne i łatwiejszej roboty; tylko dla przyozdobienia wyrzynano i złocono belki jak to jeszcze widzieć można w jednej sali krakowskiego zamku. Nie wiem, czy dla tego żem się w dniu poprzednim napiła więcej niż wodą Renu, wspomnieniami starych Niemiec i marzyłam noc całą o srogich baronach, ślicznych dziewicach i bitnych rycerzach; ale wszedłszy do Mogunckiego kościoła, zdało mi się zupełnie jakobym w pierwsze wieki średnie się przeniosła. Brzmiała poważna muzyka, śpiewano niemieckie pieśni, deptałam po grobach z gotyckimi napisami, po ogromnych postaciach w zbrojach; dopomogło mi jeszcze do tego przekonania czterech chłopczyków od lat może dwunastu do

sześciu, którzy przez całą mszę klęczeli na pierwszym stopniu przy kracie od chóru, jakby zdjęci żywcem ze starego obrazu, krótkie obcisłe suknie kolorowe z wązkami, długimi rękawy, ujęte szerokim pasem, birecik włożony na bok z piórkami, włosy ostrzyżone równo i krótko na czole, na karku długo. Czekałam tylko chwili, rychło się ukaże jaki poważny baron, prowadzący za sobą młodą żonę, już godną tego zaszczytu, kiedy mu czterech synów powiła, i rozkaże sędziwemu giermkowi odprowadzić zacne pacholęta do zamku.

Moje średniowiekowe wrażenia i pomysły wnet znikły i rozwiały się do szczytu; zjadłszy obiad, przeszedłszy most na Renie dosyć długi, bo ma podobno 1722 stóp, wsiedliśmy do wagonu, a pędem wiatru przebiegliśmy państwo Heskie i wpadliśmy w W. Księstwo Badeńskie pod Mannheimem. Ani kolej żelazna, ani miasto Mannheim, takie białe, takie schludne, tak regularnie i szeroko zbudowane, ze swemi dwupiętrowemi domami, zaiste nic nie mają średniowiekowego w sobie; kilka jednak bardzo miłych godzin mi tam zeszło, już nie na zwiedzaniu książęcego pałacu, bogatej galeryi obrazów, ale na obchodzeniu pięknych ogrodów i miejsc przechadzki. Był to wieczór niedzielny,

wszędzie muzyka grała, wszędzie snuło się wiele ludzi, rozmawiali, śpiewali, tańczyli, jedli, pili, a wszystko przywoicie, obyczajnie, bez krzyku. Ja myślę, że na całym świecie nie ma weselszych krain od nadreńskich, żaden lud piękniej bawić się nie umie od Niemców, im trzeba koniecznie natury i muzyki. Prawda że do tych dwóch tak szczytnych żywiołów, przydają dwa bardzo poziome: fajkę i piwo; ale można im to wybaczyć. Najprzód na świeżem powietrzu dym najgorszego tytoniu nie tyle wadzi, a piwo chociaż nie tyle szlachetne co wino, przecież sto razy szlachetniejsze od wódki. Tak sobie chodząc bez żadnego wstrętu, bez żadnej bojaźni wśród Manheimskiego pospólstwa doczekaliśmy się godziny jedenastej kiedy odchodził konwój do Heidelberga. Wiedzieć bowiem trzeba, że Badeńczycy, dzięki cudom pary, przyjeżdżają sobie z Heidelberga do Manheimu na teatr w dni świąteczne i wracają do domu z równą wygodą i bezpieczeństwem, jak nasza publiczność warszawska jeździ do Łazienek i wraca, a jest jednak mil cztery. Księżyc świecił w pełni, pojechalśmy więc śmiało z ciekawemi i dojechalśmy jak najszcześliwiej. Poranek następujący zszedł na oglądaniu Heidelberga, a najwięcej na przypatrywaniu się jego sławnym rozwalinom. Chociaż

w tém mieście jeden z najdawniejszych niemiecki uniwersytet, bardzo znakomita biblioteka i wiele innych ciekawości, jednak wszystkich podróżujących więcej wabi ten widok. Są to niezawodnie największe ruiny w Niemczech; rzekłbyś jakiś król czy książę-malarz, z umysłu i z największą sztuką i smakiem ten gmach zniszczył, jedynie dla tego ażeby utworzyć najcudowniejszy widok. Jakoż Heidelbergski zamek nie bardzo dawny, załedwie z szesnastego wieku; są nawet części późniejsze, np. szklarnia, jak mówią pierwsza w Europie i która Ludwikowi XIV podać miała myśl pysznych wersalskich szklarni. Budowniczy tego zamku nie był ani z byzantskiej, ani z gotyckiej, ani z romańskiej szkoły, która jest tych dwóch poprzedniczką, tem mniej z włoskiej osadzonej na wzorach greckich, rzymskich; był sobie ze swojej własnej fantastycznej, i zdaje się że stawiając go, więcej pamiętał o malowniczym efekcie jak o architektonicznym porządku. Stało się też chęciom zadosyć i Heidelbergskie ruiny na téj górze, nad tą rzeką, będą długo jeszcze celem pielgrzymki artystów, którzy może to jedynie znajdą do zarzucenia, że już jest jakby najdoskonalniejszy krajobraz i nie ma potrzeby, a bardziej

ochoty przenoszenia go ani na papier, ani na płótno.

Z Heidelberga ktoby chciał najprędszą drogą jechać do Szwajcaryi, powinien puścić się koleją żelazną aż do Bazylei, i tak każdemu zrobić życzę, ile że po drodze widzieć może Karlsruhe, Rastadt, zatrzymać się w Kehl i przeszłszy most odwiedzić Strasburską katedrę; ale nam inaczej postąpić wypadało: mieliśmy wskazane sobie miejsca zjazdu *rendez-vous*, po staropolsku *zrok*, w Frejburgu w Bryzgowii, dzieńznaczony był 24 Czerwca, hasło filozof, nie podobna było nie dotrzymać słowa. Pojechalśmy więc koleją do Offenburga, wypatrując tylko zdaleka igły czy strzały Strasburskiej wieży; tam trafiwszy szczęśliwie na wracającego do Frejburga woźnicę, wsiedliśmy w wygodny kocz jego i dowiózł nas wybornie na miejsce przed północą, mil jednak czternaście.

Nie wiem czy dla tego, że od Paryża użyłam różnego rodzaju podróżowania, dylizansem, kolejami, statkiem i że już mi się naprzykrzyły te obce twarze z ktoremi dziś jesteś tak blisko, tak dobrze nawet, a jutro o nich zapomnisz i nie zobaczysz nigdy, chyba na dolinie Józefata, ale nie mogłam się dosyć nacieszyć tym własnym powo-

zem, gdzie nikogo cudzego nie było, temi końmi którem widziała, tym woźnicą który przecie gadał z nami, słucał nas i kiedy nam się jaka okolica więcej podobała, albo kiedy przyszła ochota wyprostować nogi, zmienić miejsca, zatrzymywał się i my sobie wysiąść mogli, przypatrywać się, chodzić, rwać kwiaty, używać przecieź wiosny i wolności. Sławiłam teź całym głosem staroświecki obyczaj przenoszenia się z miejsca na miejsce, może nawet z pewną krzywdą potężnej dzisiejszej władczyni, Pary; i nie ręczę czy tak jest w istocie, ale kraj między Offenburgiem i Frejburgiem wydał mi się jeden z najpiękniejszych, najweselszych jakie kiedybać widziałam, mianowicie wioska Dinglingen, gdzieśmy pierwszy raz wysiedli. Zresztą mogło i tak być, bo jechaliśmy ciągle W. Księstwem Badeńskim. Frejburg w Bryzgowii, gdzie nam zbiegły jak najmilej trzy dni na odnawianiu dawnych, na zawięzywaniu nowych przyjacielskich stosunków, jest miasteczkiem, które choć nie koniecznie ożywione i osobliwe, ma przecieź swoje ciekawości i powaby; ciekawością największą jest katedra, która prawdziwie mało co ustępuje Strasburgskiej w piękności; jój budowa, prawie czystego, lekkiego gotyckiego smaku, w niewielu tylko częściach ciężkość romańską

przedstawia. Wewnątrz ma także piękność bez ceny, osobliwie rzeźby z drzewa, pełne owęj oryginalności, owego natchnienia, czy fantazyi, owego wykończenia, które gotyckiemu rzeźbiarstwu miejsce obok włoskiego nadają. Są i szacowne obrazy niemieckiej szkoły; arcydzieło szwabskiego mistrza Hans Baldung Grien, zmarłego 1552. „Koronacya Matki Najświętszej. Narodzenie Zbawiciela i pokłon mędrców” Holbeina młodszego, którego robót mało jest w Niemczech, daleko więcej w Anglii, gdzie prawie życie spędził. Są także przesliczne szyby z czasów najświetniejszych malowania na szkle, kiedy słynął Kramer, Hauswild i cała rodzina Hirschvogłów, wiele w tej gałęzi sztuki zasłużona. Frejburg bowiem był oddawna miejscem gdzie kwitło malowanie na szkle, i dziś jeszcze jest jej reprezentantem prosty chłopek z okolic, którego roboty już jaśnieją w katedrze obok dawnych mistrzów. Powabami Frejburga są przechadzki naokoło miasta, trochę uciążliwe, bo górzyste; dla tego samego jednak, obfite w widoki. Prowadził nas po nich z upodobaniem nasz filozof, który je uważa już za własność swoją, tyle razy je przeszedł w szerz i wzdłuż i tyle myśli im powierzył. Ma on bowiem zwyczaj wstawać codzien ze wschodem słońca,

i jakibąc czas, przez godzinę chodzić na wolnem powietrzu. Rozmowa jego, cały układ, wyraz nawet twarzy noszą cechę tego obcowania z naturą; mało widziałam ludzi równie pogodnych, skromnych, łagodnych, a wyznaję, że czytając jego dzieła, wystawiałam go sobie zupełnie innym. Młody jeszcze, nie wydaje bowiem jak lat trzydzieści kilka, w starannym ubiorze, grzeczny i gościnnie z serca, szczery, otwarty, z wielkiem uszanowaniem dla kobiet; w całej osobie swojej, nie przedstawia ani cienia zarozumienia, pretensyi lub rubaszości; wydało się to najlepiej w sporach, które jak to wystawić sobie łatwo, napęłniały nasze rozmowy. Bynajmniej się nie sprzeczał, głosu nie podnosił, a miał nas kilka i zaciętych przeciw sobie; każdej uwagi, nagany, nawet rady do końca wysłuchał, a kiedy własnych zdań bronił, widać było nie upor, ale przekonanie. Mowa jego płynna, czysta jak gdyby nigdy nie wyjeżdżał z Polski, w czem wiele ma zasługi. W Frejburgu gdzie mieszka już od lat dwunastu, czasem ledwie przypadkiem który rodak się nawinie; radzi sobie i zastępuje książkami polskimi; dobrze dla niego, ale dla jego pism nieodżoławana szkoda, że nie więcej zna ludzi i świata. Domowe pożycie naszego filozofa bardzo szczęśliwe, mie-

szkanie skromne, czyste i miłe; nawet w jego pokoju do pracy i na biórze, pyłu nie znajdziesz, wszystko w porządku, żonę ma niemkę, młodą, poczciwą, wyborną gospodynię i wyższego ukształcenia niż sądziłam; porodziła mu synka, który umarł; mała córeczka Olimpka, z kolei historyrycznej jaką w Chowannie umieścił, nie wiem doprawdy jaki naród przedstawia, ale widząc że ją pieści, a raczej psuje, przesładowałam go iż z żadnym ludem tak Opatrzność nie postępowała, bo i wybrany kar doznawał skoro zasłużył. Tłumaczył mi się, że przyjął za metodę, nie dopuszczać jak najdłużej złego do dziecięcia; woli przeto dogadzać jej w małych rzeczach, robić co ona chce, nie uważać na małe uchybienia, niż drażnić oporem i budzić złość i gniew. Dotąd mu się udaje, gdyż niezmiernie miła dziecina; prawda, najmniejszych starań nie ma koło siebie; z rąk matki do rąk równie kochającej i rozsądnej ciotki przechodzi; przy takich wykonawcach każda metoda dobra.

Jedno jeszcze miłe wspomnienie jakie uwiozłam z Frejburga, jest pamięć odwiedzin klasztoru żeńskiego, a raczej domu wychowania. Założony jeszcze przez siostrę Rudolfa z Hasburga, zwany *Adelhaus*, bo same szlachcianki mogły w nim

być przyjęte i wychowane, dziś zrobił się przystępniejszy. Zakonnice wszelkiego stanu są przyjmowane, byle powołanie i zdatność nauczycielską miały; wychowanek nie biorą wcale, same są uczennice przychodnie, bezpłatne, ale ich jest siedmset, tych zapewne nikt o herb nie pyta. Zakonnice są tylko w liczbie trzynastu, rachując już z przełożoną, którą *matką* zowią i która sama żadnej nauki nie udziela, główny dozór nad wszystkim mając. Każda z dwunastu zakonnice cztery godziny przed południem i tyleż po południu uczy; w niższych klassach czytać, pisać, rachować, historii świętej, robót; w wyższych grammatyki, historii powszechniej, geografii, katechizmu, a nawet po francuzku. Kiedy obchodząc cały klasztor i klasy rozgadywałam się z jedną z tych zakonnice i ubolewałam nad ciężką ich pracą, „Prawda, odpowiedziała mi: jest bieda z dziećmi, a większa jeszcze z samą sobą, bo nieustannie o sobie pamiętać trzeba i zwyciężać się, ale jest i pociecha. Nie mamy też innych obowiązków, tylko rano msza w kaplicy; w wieczór modlitwy, stół spólny dwa razy dniem, zresztą wolno każdej z nas u siebie siedzieć; jakież to miły ten wypoczynek, ta cichość i samotność po gwarze; a nasza reguła tak łagodna, że pozwala

nam ładne mieć pokoje.” I zaprowadziła nas do swojego; prawda że miły, aż zostać w nim się chciało. Posadzka świeżo wymyta, szyby świetności kryształowej, sprzęty tak wywoskowane, że przejrzeć się można było w każdym; książek kilka na półeczkach; pełno ślicznych kwiatów, a nad białem jak śnieg łóżkiem, w głowach Zbawiciel ukrzyżowany, z boku Matka N. jświętsza. Kiedy tu wracam z mojej pracy—powiedziała siostra Emilja, bo takie jej imię — a dobrze mi poszło, zdaje mi się, że On mniej cierpi, a Ona milej się uśmiecha.” Nie mogłam się wstrzymać od uściskania jej serdecznie i polecenia się świętym jej modlitwom. Przyszły mi w tej chwili na myśl samolubne Benginki i jeszcze w mojem mniemaniu straciły.

Tak nam się podobał osobny powóz, że do Szafuzy, gdzieśmy jechać mieli, dla widzenia sławnego spadku Renu, najęliśmy także woźnicę; droga zwłaszcza z początku i póki się ciągnęło Badeńskie, była prześliczna; zrazu skały, góry, małe jezioro, dalej pola uprawne, wioski wesołe, drzew rozmaitych wiele; ale właśnie za przejechaniem granicy kiedy się można było daleko piękniejszych, bo Szwajcarskich spodziewać widoków, zabrakło ich zupełnie i dla sławy malowniczej Helwecyi, nie życzę nikomu wjeżdżać

w tę stronę. Wreszcie, może i nie ma tego złego, coby na dobre nie wyszło; oczy które wypoczną, podziwienie które wytchnie, lepiej są przysposobione do ocenięcia wielkiego dziwu natury, a taki dziw czeka podróżnego w Neuhausen; bo nie pod Szafuzą jak jest zwyczaj mówić i pisać, ale w Neuhausen, małej wiosce o pół mili, jest ów przepyszny wodospad, i jakiś pan Weber rachując na wielbicieli pięknej natury, wystawił na górze, w miejscu zkad się najlepiej wydaje, paradny hotel; tam zanocowaliśmy, zdarli nas jak nigdzie w żadnej gospodzie przedtem i potem, ależ i nie żał; bo nietylko żeśmy wodospad ze wszech stron widzieli schodząc na sam dół, przechodząc na drugą stronę i w wieczór i rano, ale jeszcze był jak obraz jaki w naszych oczach i szum tych wód ukołysał mnie, uspił jakby śpiew jakiej czarodziejskiej piosenki. Nazajutrz siedząc znowu w oknie i wpatrując się z zachwyceniem w ten dziw, chciałam go opisać; ale gdzie tam: myśli szły wprawdzie nawałem do głowy jak wody Renu idą tam zdaleka obfite i pełne; lecz gdy przyszło do wcielenia ich w słowa, roztrącały się i podobnie spływały w otchłań, niepojęte, nieuchwycone. Tu trzeba być poetą, albo malarzem; bo jak odziać w poziomą, w codziennej prozie

majestat tego obrazu, bogactwo jego i życie, seledyn wałów, białość i lekkość piany, różne kształty tych czarnych, a w części umajonych skał, które się tak uszykowały, jak gdyby olbrzymy brońące przejścia w tem miejscu? jak wyrazić szum, pryskanie, wirowanie, gniew téj pysznej i rozhułkanéj rzeki i jakby większy, tryumfujący jéj pospiech, gdy raz te zapory pokonała. A jeszcze widzieliśmy ten dziw rozmaicie: przy promieniach zachodzącego najwspaniałéj słońca i przy świetle jasnego księżycy w pełni i nie wiem dotąd w jakiej porze wydał się cudowniej; czy kiedy te bajeczne szmaragdy i perły toczyły się i rozrzucały oprawne w złoto, czy kiedy srebrne ozdoby je ujęły? A i w trzeciej odmianie nam się ukazał przy brzasku różanej jutrzeńki; bo nie można było żadnym sposobem spać długo, mając w pamięci sąsiedztwo takiego widoku. Cała natura jeszcze spoczywała; ptaszki nawet nie śpiewały, ludzie nie wyszli do roboty, niezmeńczony tylko Ren zawsze płynął, szumiał i zwyciężał, i dzielność jego i potęga jeszcze mi się wydatniejsze zdały przy tem ogólnem milczeniu. Powiadano nam jednak, że jakkolwiek w Czerwcu ten wodospad wspaniały jest, bogaty, niczem to prawie obok widoku jaki przedstawia na samą wiosnę, kiedy

lody i śniegi alpejskie się puszcza; kra ma tworzyć wtedy fantastyczne pałace i wieże, rzeka jeszcze pełniejsza i silniejsza z tym większym pędem i hałasem uderza na tych nowych przeciwników swoich; a kiedy nareszcie podmieje je, zwali, roztrąci, i porwie na grzbiet swój, ma to być huk słyszany o kilka mil i obraz nieporównanej piękności. Opisywał nam to gospodarz i widać było, że niepospolitą miał ochotę namówić artystów i amatorów pięknej natury, ażeby zajeżdżali na ten widok do jego gospody: „Tak przykro samemu patrzeć na te cuda,” mówił z westchnieniem i wierzyć było można szczerości słów jego.

W Szafuzie, gdzieśmy tylko kilka godzin bawić się spodziewali, wypadło nam ponudzić się blisko dwa dni. Wjechaliśmy do Szwajcaryi w czasie wielkiego narodowego święta; obchodzono w Bazylei strzelanie federacyjne (*tir fédéral*) na pamiątkę chwalebnej bitwy pod Ś. Jakóbem, kiedy 1,500 Szwajcarów porwało się na 30,000 Francuzów, zabili im 6,000, a gdy pokonała ich liczba, padli wszyscy z bronią w rękę prócz dziesięciu, którzy wróciwszy do siedzib swoich wypędzeni zostali z własnych domów jako podli tchórze. Kto mógł, śpieszył na ten obchód i wszystkie konie, statki, wozy i powozy, woźnicy i przewo-

źnicy zajęci byli. Mając się puścić znowu Renem i płynąć nim pod górę aż w jezioro Konstancyi, nie mogliśmy się doczekać statku, aż na drugi dzień. Przecież nie uważam tego czasu za stracony, owszem: może mi zszedł korzystniej od wielu chwil poprzednich. Od wyjazdu z Paryża, tak ciągle byłam zajęta, tak trzeba było oczy otwierać, umysł natężać, że nie było kiedy patrzeć blisko siebie, a może i w siebie; tu znalazła się pora ku temu. Najprzód w Niedzielę, w ubogiej kapliczce katolickiej, w pośród garstki pobożnych (Szafuza bowiem jest protestancka, jak większa liczba mieszkańców Szwajcaryi, gdzie w trzech przeszło milionach mieszkańców, ósmkroć sto tysięcy jest katolików), wymodliłam się lepiej niż w wspaniałych katedrach. Zbudowałam się nawet wiele z kazania, chociaż było po niemiecku, a ja nie tęga niemka; bo ksiądz z taką mówił prostotą, tak jasno i tkliwie wykladał słowa ewangelii dnia tego: „Jeśli ofiarujesz dar swój do ołtarza, a tam wspomnisz że brat twój ma co przeciw tobie, zostaw dar swój przed ołtarzem, a idź pierwój pojednać się z bratem twoim,” że zrozumieć go było można, jeśli nie głową to sercem. Powtóre, ułożyłam nieco porządniej moje nieliczne manatki;

nareszcie przyglądałam się bliżej ludowi w którego kraj wjechaliśmy.

Zapewne komuś co lat dwanaście prawie mieszkał w Paryżu, miasteczko takie jak Szafuza, ośm tysięcy ubogich mieszkańców mające, choć dawne w dziejach i malownicze, ale bez znakomych gmachów, bez teatrów, bez muzeów, nie wyda się świetne, ożywione, zabawne; lecz w samym tym widoku upatrywałam powab. Był to jakiś powrót, bo wcale nie cofnięcie się do natury, do stanu przyrodzonego człowieka, w jakim Stwórca pewno chętniej go widzi, aniżeli w owym wymuszonym, wytrybowanym, do którego polem każda wielka stolica. Szafuza np. wydała mi się krainą zdrowia; napatrzeć się nie mogłam siły i dorodności mężczyzn, czerstwości dziewcząt, świeżości dzieci. Nawet ubiór kobiet, lubo niezmiernie skromny i przyzwoity, więcej wykrywał naturę. W Paryżu wiedzieć nie można czy kobiety mają włosy, czy nie; najuboższe noszą czepki albo fulary; tu mężatki lub panny nic niekładą na głowę, długie i gęste kosy swoje, uczesane starannie, przedzielone na czole i założone za uszy, albo spuszczaają na plecy w dwóch pięknych upłotach, albo też układają w wieniec powyżej czoła. Aż wesoło i jasno kiedy się spotka kilka takich dzie-

wczą, a od ich włosów światło błyska zdaleka. Na ulicach, po sklepach, widzisz uczciwość, prostotę prawdziwie pierwotnych wieków. Stoją rozłożone stragany z wiktuałami, często bez dozoru; sklepy zaś pozamykane i bynajmniej nie ozdobne: jest tylko dzwonek, napis czego w nich dostać można i parę próbek w oknie na dowód. Jeśli chcesz co kupić, dzwonisz; bo kupiec urzędnik albo rzemieślnik, kupcowa gospodyni i matka dzieciom, nie chcą sobie marnować czasu próżnem siedzeniem w sklepie; nie rachują też z towarami swemi na lekkość, marnotrawstwo, na żadną pokusę, tylko jedynie na istotną potrzebę; o tej wiedzą że ich nie minie, choć jej nie wabią, nie zapraszają, nie ciągną. Przy tym braku wszelkiego wyszukania i zbytku, jest w poczciwej Szafuzie drugi brak, który jak dla mnie, sownie tamten wynagradza: nie ma żadnych nieczystości, śmieci, nie ma rozpusty, żebractwa, nędzy, tych moralnych towarzystwa brudów. Gdzieśmy się tylko obrócili, czy na szerszych ulicach gdzie są wieże starożytne i niektóre domy ciekawe, malowane nie źle; czyśmy nad brzeg szumiącego Renu poszli, czy w najciaśniejsze i najuboższe zatyłki, wszędzie widać było swobodę, pracę, ochędostwo; nigdzie nic nie raziło ani oczów, ani serca. Prócz

tego, dwa razy dniem mieliśmy bardzo zajmujący widok: zaciąg warty; widok, jakiego pewno najbardziej wojskowa stolica nie podaje. Cała siła zbrojna Szafuzy, była w Bazylei ażeby dodać świetności narodowemu obchodowi; straż więc miejska, oddaną została na ten czas dzieciom: bo wiedzieć należy, że w Szwajcaryi od najmłodszych lat każdy chłopczyk jest żołnierzem: skoro dźwigać strzelbę potrafi i mierzyć prosto się nauczy, już bronią robić i strzelać do celu się uprawia. Szwajcaryja też, chociaż tylko trzy miliony ma mieszkańców, skarbów i papierów żadnych, przecież może wystawić na każde zawołanie trzydzieści trzy tysiące doskonałego wojska; a na pierwszy rozgłos trąby wojennej, dwa kroć sto tysięcy wyćwiczonych strzelców. W Szafuzie tedy występowało codziennie przyszłe wojsko, w mundurach podług wszelkich prawideł sztuki i pod komendą starszych oficerów; najstarszy żołnierz nie miał lat dwunastu, a byli dobosze (prawdziwe bębny) pewno sześćioletni: ci z największą powagą, szczęśliwsi niż wszyscy królowie świata tego, szli na czele przez miasto, tarabaniąc z całych sił. Nie wiem z jakiego powodu, ale zdawało mi się, że widzę w kilku z tych malców podobieństwo do najmilszych mi dzieci.

Ale nareszcie wyczerpały się moje Szafuzkie postrzeżenia i porównania, i chociaż statki parowe mają dla mnie swój zaród nudów, przecież ujrzałam mile przyplływający zdaleka, który miał nas zabrać i wrócić z nami do Konstancyi. Tak to i nudny gość witany jest uprzejmie, kiedy bez niego do stołu usiąść nie można. Lepiej mi jednak zeszło te kilka godzin żeglugi niż spodziewałam się. Statek był jakiś poufalszy od pierwszego, nie taki paradny i elegancki, mniej też było ludzi i tylko jeden anglik; powiedziec zaś tu raz na zawsze muszę, że Anglicy, o czem jeszcze dowodniej przekonałam się później, choć z początku każdej podróży bawią, w dalszym i długim jej ciągu, zupełnie się naprzykrzą. I nie ja pierwsza to mówię; już wchodzi w zwyczaj u lądowych, kiedy chcą pochwalić okolicę jaką, albo powiedziec o wyprawie że się udała, dodawać: „wyspiarzy tam nie ma, albo nie było.” Oni bo jakoś osobliwie w miejscach gdzie krótko bawią, przeszkadzają ci do widzenia dobrze kraju przez który przejeżdżasz, zupełnie jako ci natrętni sąsiedzi na teatrze, co to wychylają się, rozmawiają i zasłaniają scenę, albo głuszą mowę aktorów. Uwija się ich wszędzie strasznie wielu, a są oryginalni; zamiast więc uważać na miejscowych mieszkańców,

na ich zwyczaje, ubiór i język, mimowolnie wypatrujesz Anglików i słuchasz świstu ich zamorskiej wody. Powtóre, wielu z nich z podróżowania zrobiło zupełne rzemiosło, czyli sztukę; podróżowanie zdaje się być ich stanem normalnym, muszą mieć w oberżach te same wygody, te same zwyczaje co w domu; stroją się do dyliżansu i na statek jakby na wizytę. Patrząc na niektórych, zdaje się że poszli w zakład iż mężczyźni objadą pół świata w białych pantalonach, a kobiety dotrą do szczytu gór alpejskich bez zmięcia obręczowych falban i koronkowego kołnierzyka. Nam, którzy aż nadto często i w ubiorze i w innych rzeczach mówimy sobie: „Ej! to ujdzie, to tylko tymczasem;” którzy wreszcie nie często podróżując, lubimy być czasem inaczej jak u siebie i nie odmawiamy sobie, to usiąść na trawie, to wyjść wśród deszczu, to rozeprzeć się wygodnie; nam mówię prostaczkom owi turyści z igły zdjęci i z pudełka dobyci, często bardzo nie na rękę, może i dla tego że nie mamy ani ochoty, ani możliwości do mierzenia się z nimi.

Ale wracając do naszej pierwszej żeglugi po Renie; chociaż to już nie był ów cudowny Ren między Bonn i Moguncją (gdyż proszę zawsze pamiętać, żeśmy pod wodę płynęli), był przecież

piękny, bo Ren innym być nie umie, a jeśli brzegi jego gdzie niegdzie tylko górzyste, dosyć jednostajne wydawać się mogły, podjęło się wnet niebo urozmaicenia tych widoków. Kiedyśmy wsiedli na statek, błękit był czysty gdyby szklanny, a słońce jasne mocno dogrzewało. Zjawił się najprzód jeden obłoczek od południa; zdawał się zrazu jak lotny gołąbek biały, urosł potem w owieczkę, dalej w liczne stada i trzody, a wkrótce owe skrzydlate gołąbki i wełniaste owieczki zamieniły się w czarne olbrzymie potwory, zasłoniły słońce i całe niebieskie sklepienie. Wszczęła się burza wspaniała, błyskawice migały, huczał grzmot rozległy i potężny, padały pioruny nie daleko, zwłaszcza gdyśmy dojeżdżali do miejsca, któremu byłabym rada przypatrzeć się lepiej niż z okien kabiny, do Arenberga, własności Ludwika Bonapartego, gdzie uknuł zamysł swojej niebezpiecznej Strasburgskiej wyprawy. I w zawód tego młodzieńca grom uderzył, ależ ściągnął go na się własną winą. Przecież patrząc na ten zamek na wolnej ziemi szwajcarskiej położony, ozdobiony ręką tkliwiej matki, więzień Haum stanął mi na oczach i żal mi go się zrobiło. Burza jednak ustawać zaczęła, skorośmy z Renu wpłynęli w pierwszą część jeziora Konstancyi, dolnem

zwanego (*Untersee*); słońce ku zachodowi schylone, wystrzeliło z za chmur najprzód kilka promieni, potem ukazało całe złote oblicze swoje; natychmiast na przeciwniej stronie jakby na znak radości i tryumfu, roztoczyła się półkolista, podwójna tęcza, tak piękna jak nigdy jeszcze nie widziałam, chyba dzieckiem będąc, kiedy ten huk wzorzysty jakiemiś zjawiskiem cudownem mi się wydał; bo jak dziś pamiętam, tak się trafiło, że tego samego dnia, rano, nauczyłam się historii potopu i ofiary Noego, a w wieczór obaczyłam pierwszą tęczę na niebie. Dumając mile i wdzięcznie o tej, która mi w latach dziecinnych tych nauk udzieliła i dziękując pokornie Bogu, że wiara przez nią wpojona dotrwała dotąd spokojnie i bez walk żadnych w sercu mojem, doczekałam się bardzo rychło chwili, kiedy dzwon statku ogłosił, że już przybijamy do portu i stawiło się przed nami szerokie jakby morze, wyższe jezioro Konstancyi (*Bodensee*) i samo to miasto tyle sławne w dziejach kościoła soborem i spalaniem nieszczęsnego Jana Hussa i Hieronima z Pragi w r. 1414. Nie wiem czy skutkiem roztkliwionego umysłu tak lubem dumaniem o słodyczach jarzma wiary, ale te przypomnienia boleśniej jeszcze zakrwawiły mi serce niż zwykle podobne, a miasto

Konstantyna, choć oblane przesłicznym jeziorem, starożytnymi budowami ozdobne, wydało mi się smutne, puste, milczące i jakby umarłe. Szczęściem nie mieszkaliśmy w jego okropnych murach a to dla takiej przyczyny: samo miasto należy do W. Księstwa Badeńskiego, wszyscy tedy jadący do Szwajcaryi, żeby im już rzeczy nie przerzucano, o paszporta nie pytano, nie opuszczają helweckiej ziemi i stoją na przedmieściu w hotelu Delisle. Przybywszy tam już o zmroku, wypadło nam zostać przez dwie noce i dzień cały, i zdarzyło się iż ten dzień był dla mnie rocznicą bardzo pamiętną, dniem jedynakim w życiu mojem. Był to bowiem 1 Lipca 1844 r. czyli Jubileusz srebrny mego autorstwa; gdyż 1 Lipca 1819 r. *Pamiętka* ogłoszoną została przez Kuryerka i gazety warszawskie. Są osoby które się śmieją z tych co uważają na wszelkie rocznice i obchody, mówiąc że o zdarzeniu prawdziwie ważnem nie zapomni się nigdy, a rzeczy obojętnych pamięci, nie ma potrzeby zachować. Ja nie jestem tego zdania i w tem zapewne nie jedna z moich czytelniczek wtórować mi będzie; mam kilkanaście dni w moim prywatnym kalendarzu, które są dla mnie zupełnie innej barwy jak dni pospolite; prawdziwie ciche święta myśli mojej. Od lat dwudziestu pięciu, pierwszy

Lipca jest jednym z takowych; nie przepomniałam nigdy zastanowić się w ten dzień nad zawodem moim pisarskim, nad tem com już zrobiła i cobym zrobić chciała. Mam nawet książeczkę, gdzie od pierwszej jego rocznicy: w każdą znacząco wiernie com przez rok spłyniony napisała, a jeśli w tym rejestrze nie ma żadnych arcydzieł, bardzo mało oryginalnych utworów, pomimo nieszczęść, przeszkód, chorób, jest zawsze dowód że na pracowitości i dobrej chęci nigdy mi nie brakło. I dwudziestą piątą rocznicę mogłam sobie dać to świadectwo; w przeciągu spłynionego roku, wygotowałam pod prasę dzieło nie wydatne, nie nowe ale pracowite, całe pismo ś. z uwagami, poświęcone jak niemal wszystkie moje matkom i dzieciom. Ma ono być podstawą dzieła edukacyjnego, którego plan obszerny już nie raz mnie samę lękał i wprowadzał w wątpliwość czy go dokonać potrafię. Ale w tym dniu wzięłam sobie za pomyslną wróżbę i za mocną zachętę, nazwisko miejsca, gdzie wypadł obchód rocznicy mego cichego srebrnego Jubileuszu. Konstancya, imię tyle mi drogie i miłe, znaczy stałość; stałości więc tylko potrzeba, a Bóg zdrowia i życia udzieli. Zaręczyłam się tedy w duchu powtórnym ślubem z moją publicznością, to jest ze wszystkimi do-

breml rodaczkami i matkami i z ich dziatwą, że do śmierci nie przestanę pracować dla nich tak jak najlepiej potrafię; objęłam je wszystkie myślą serdeczną, byłabym rada objąć jednym uściskiem, jednym pocałowaniem; podziękować im, że przyjmowały tak wdzięcznie moje zabiegi i starania, że nie jedna za memi radami poszła. Nie chcąc niczem się odstręczać i oziębiamć w mojem rozczuleniu i zamiarze, odpycham pamięć owych rodaczek, co to tylko siostrami są z imienia, a w rzeczy, damami dla których nic nie ma, tylko salon, i które nie dbając o to wszystko co swojskie, nie czytają, ani idą za niemi. Mniejsza o nie, powiedziałam sobie, mniejsza o pałace, byle mi domy zostały. Ależ niepodobna było dumać dzień cały nad sobą i swojemi pracami, będąc w obcem mieście, należało obejrzeć jego piękności i ciekawości. Pięknością największą i niepospolitą Konstancyi, jest jezioro i rzucona weń dosyć długa kamienna grobla z wieżą i latarnią; ciekawościami zaś stara katedra, pomniki jeszcze romańskiej sztuki, kościół i klasztor Ś. Piotra i starszy od nich gmach, gdzie się odbywał ów sławny sobor. Część tego gmachu jest nie źle zachowana, w sali jednak radnej nic nie ma prócz kilku tarcz blaszanych z imionami monarchów i monarchiń, które już w tym dziewię-

tnastym wieku, miejsce to odwiedzały; bardzo się źle wydają. Gabinet osobliwości jest własnością prywatną jakiegoś spekulanta, a ciekawości nie odpowiadają opłacie. Chociaż zdają się autentyczne krzesła cesarza Zygmunta i papieża Marcina V, takie stare i obdarte; malowania rozmaite tak okropne i zbutwiałe, zgoła taki dobór gratów i gałganów, iż można im przyznać śmiało cztery wieki i więcej dawności. Najosobliwsza, ale razem najsmutniejsza rzecz do widzenia w tem muzeum starem jest więzienie Jana Hussa, którego ściany kamienne z oknem i drzwiami z kościoła, gdzie było niegdyś, tu przeniesione i ustawione; aż przykro patrzeć jak mało miejsca zabiera i trudno uwierzyć, ażeby ludzie trzymać tak mogli żywego człowieka; nie jeden król i pan możny, grób ma daleko większy.

Zamiarem naszym było przepłynąć całe jezioro Konstancyi, przypatrzeć się jego zachwalonym brzegom, dobić aż do miejsca gdzie Ren w nie wpływa i traci pierwotne swoje imię starego Renu, a ztamtąd ruszyć powozem do St. Gall, do Usnach, a jadąc ciągle wzdłuż jeziora Zürich, dojechać do miasta tegoż imienia. Ale znane jest Ś. przysłowie: „Człowiek podaje, Pan Bóg rozrządza.” Od owój burzy na Renie powietrze zupełnie się zmie-

niło: wszystko i wszyscy wróżyli niepogodę, mgła zasuwiała zupełnie góry, deszcz padał; nie ma zaś kraju za ziemi, któryby więcej potrzebował pogody jak Szwajcarya; jest ona jak dziecko które choćby najładniejsze, nie miłe kiedy płacze. Radzi nie radzi wsiedliśmy więc w dylizans i pojechali do Zürich. Dylizanse szwajcarskie wcale są wygodne i tem przyjemniejsze, że jest dwa tak nazwane *coupés*; czyli osobne karety na trzy osoby; dostał nam się jeden i byliśmy zupełnie jak w własnym powozie, z tą jednak różnicą, że woźnica tam nie stawał gdzieśmy chcieli; za to jechał prędzej. Przejechaliliśmy w ośmiu godzinach cały kanton Turgowii, którego stolicą Frauenfeld nad Murgą, gdzieśmy obiadowali, i większą połowę kantonu Zürich. O ile mogłam widzieć z powozu i mimo ciągłego deszczu, te oba kantony są jakby sadem najdoskonalej uprawionym; wśród zbóż, łąk, rosną dosyć gęsto wspaniałe grusze i jabłonie z owoców których cydr się robi; gór i skał prawie nie ma, ale drzewa, pagórki, doliny, winnice, laski gęste i schludne wioski, młyny, strumyki, bardzo miłym i ożywionym go czynią. Miasteczko Winterthur już w kantonie Zürich, tętni zdaleka fabrykami swemi jakby jakie miasteczko angielskie; ale mimo tego tak schludnie, zielono i kwiecisto

wygląda jak dom wiejski w okolicach Paryża. Ale już dojeżdżamy do Zürich; góry i skały rosna w moich oczach, niebo się odsłania, jezioro się ukazuje; widzę żeśmy już w prawdziwej, malowniczej Szwajcaryi; trzeba odłożyć ten odpis do następnego rozdziału.

CZEŚĆ TRZECIA.

III.

Zürich—Lucerna— Podróż na górę Rigi— Bern—Fryburg
Payerne—Morat.

Widziałam wszystkie znaczniejsze miasta Szwajcaryi, i śmiało powiedzieć mogę, że kiedy już przeznaczeniem mojem żyć na obcej ziemi, dwa z nich obrałabym sobie chętnie za mieszkanie; jednym z tych dwóch jest Zürich. Trudno sobie wystawić piękniejszego a razem weselszego położenia miejsca, któreby godniejszym było tak miłego sercu godła: „Tu wszystkim dobrze” bo tu nie macocha sztuka o kilku upodobanych sobie pasierbach, ale natura matka o każdym dziecku myślała. Zürich leży w żyznej dolinie, dzieli je na dwie części rzeka czysta, błękitna, bystra Limmatts, która wypływa z jeszcze czystszej i błękitniejszego jeziora. To jezioro wąskie a długie w kształcie księżyca na nowiu, i ta cała dolina oto-

czone są kilkoma łańcuchami gór, coraz wyższymi i skalistszemi im bardziej oddalone, blizkie zaś zielone są od pól, winnic i ogrodów, białe od wiosek a raczej od domów wieśniaczych, z których każdy ma pole, ogród, łąkę i winnicę swoją; bo w Szwajcaryi jak we wszystkich oświeconych krajach, już oddawna niewoli, pańszczyzny nie ma; każdy chłop jest sobie panem, właścicielem, i stan rolniczy, owa prawdziwa potęga, owe jądro narodu, równy innym w obliczu prawa, równych z nimi używa przywilejów, zarówno do nauki, stopni, urzędów i wszelkich dostojności jest przypuszczony. I w tém spoczywa jedna z wielkich przyczyn, dla jakich miło przebywać w Szwajcaryi, zwłaszcza w żywniejszych i lepiej rządzonych jej kantonach i miastach, mianowicie: w Zürichu, Bernie, w kraju Wodejskjm i Genewie. Tam na kogo tylko spojrzysz, z największą łatwością widzisz w nim i uznajesz brata, nie potrzebując silić się na przypomnienie sobie chrześcijańskich przepisów, ani filantropicznych maxym; nawzajem chłop Szwajcarski zaprzęże się do wozu z ciężarem, będzie ciągnął jak bydlę, a twarz jego swobodna, spojrzenie śmiałe, ubiór schludny przekonają cię, że i on lubo nie przejęty żadnymi kommunistowskimi zasadami, uważa się za brata twego, za równego

tobie, choćbyś też jechał rozparty w sześciokonnym powozie. W Zürich mocniej mnie uderzył niż gdziekolwiek dotąd, ten charakter błogięj równości, tego przypuszczenia wszystkich do używania najmilszych przyrodzenia darów; jeszcze nigdy moje oko nie objęło od razu podobnego obszaru szczęścia i swobody powszechnęj. Staliśmy w hotelu du Lac, a na samym wierzchu tego czteropiętrowego domu jest ganek, jak prawie we wszystkich gospodach z pięknym widokiem, tam przez trzydzieści godzin, któreśmy spędzili w Zürich, wstępowałam po dwa razy, i jeżeli wabiły moje oko te malownicze skały i góry, to śliczne jezioro, które zmieniało cudownie barwy swoje za każdym wystrzelonym promieniem słońca, za każdą przechodzącą chmurą, jeszcze chętniej myśl moja spoczywała na tak niezliczonych a powabnych osadach wiejskich, gdzie przeszło 40,000 ludzi żyje swobodnie z rolnictwa; na domach fabrycznych pięknie, zdrowo, nad czystą wodą, w otwartém powietrzu położonych; nad ulicami i budowami samego miasta, które choć stare i dawne, przecież rozkłada się sobie dosyć wygodnie, ma w łonie swoim drzewa, rynki, ogrody, miejsca przechadzek, nie tak jak to w tych wielkich stolicach, gdzie każą milionami ludzi żyć,

a ledwie na kilkadziesiąt tysięcy jest dostatek ziemi, powietrza i wody. Cóż się więc zwykle dzieje? parę tysięcy bogatych najczęściej próżniaków używa tych darów bożych, a reszta pracuje, dusi się i usycha. Lecz mógłby kto sądzić z tego opisu, że Zürich jest to miasto zupełnie sielskie, bez żadnych naukowych środków i zasiłków, nie chce mu robić téj krzywdy. Przeciwnie, Zürich zowią Atenami Szwajcarskimi, i jak mówią ci co go lepiej znają odemnie, nie jest bez prawa do tego przydomku; ma uniwersytet, gimnazya, szkoły, bibliotekę zamożną, muzeum i kilka towarzystw naukowych; wydało przeszło stu autorów, w których liczbie warto wspomnieć Gessnera, Lawatera, Zimmermana, których dzieła żyją, a wielu z nich pisało dla ludu. W liczbie też 20,000 mieszkańców miasta i 210,000 mieszkańców kantonu, nie znalazłby pewno jednego, coby czytać i pisać nie umiał. Zürich ma katedrę bardzo dawną, mówią jeszcze z czasów Karola W. który tu przybywał jeżdżąc z Niemiec do Włoch; stoi dotąd jego olbrzymia figura na kościele; ma i wież parę niezmiernie starych, a może starszą od nich lipę wielce szanowaną od ludu; ma sławny hotel, jeden podobno z najwykwintniejszych w Szwajcaryi, *Maison Bauer*, któryby lepiej nazwać gospodą

angielską, bo wyspiarzy w niej jak mrowiu; ma nareszcie jedną osobliwość, która mnie bardzo zajęła. Jak w innych miastach doróżki, koczki, karety stoją rzędem na zawołanie każdego, tak tam na jeziorze przy brzegu są szeregi najśliczniejszych łódek malowanych z żaglami białymi; możesz sobie nająć jedną na godzinę, na dwie, jak chcesz, i bujać po tém cudném jeziorze; dopływać blisko do tych ślicznych domów wiejskich i do ogrodów. Wiele osób zwłaszcza nad wieczorem używa téj uciechy, co jeszcze dodaje wdzięku i życia już tak powabnemu obrazowi.

Będąc w Zürich myślałam sobie, że już pięknie położonego miasta w Szwajcaryi nie zobaczę, tymczasem nie czekając długo, doznałam miłego zawodu. Czas był cokolwiek pogodniejszy, przecież nie osobliwy, nie zdawało się więc rzeczą bezpieczną puszczać się, jak zwykle robią podróżni, jeziorem do Raperschwyll, małej miejsciny, a ztamtąd wózkiem do sławnej góry Rigi, na którą bąc co bąc wstąpić chcieliśmy; wierni tedy systematowi trzymania się miast na czas niepewnej pogody jako wielkich deszczochronów, ruszyliśmy do Lucerny. I znowu się tak zrobiło, w drodze deszcz padał, a dojeżdżając zajaśniało najpogodniejsze słońce, chmury i obłoki znikły co do ostatniego,

i kiedyśmy z ciemnej ulicy, gdzie jest poczta, weszli do szerokiej i jasnej, gdzie stoi hotel *du Cygne*, wskazany nam jako najlepszy a nie drogi, taki cudowny widok nas uderzył, iż prawdziwie, jak to mówią po prostu, osłupiałam, zapomniałam oczu, i musiałam uznać, iż Lucerny położenie, piękniejsze od Zürich, to jest silniej uderza imaginacją, więcej jest malownicze, i zapewne w swoim rodzaju jedyne.

Ja wiem dobrze, iż dzieciństwem jest śmieszny nasz nałóg pisarski, i podobno najdziksza ze wszystkich pretensya, chcieć słowami oddać piękne położenie, piękny widok, i myśleć, że ktoś co tam nie był, zrozumie nas choć trochę, a ten co tam pojedzie, znajdzie to, co sobie z naszego opisu wystawił. Kiedy jednak ta metoda jest przyjęta, i kiedym się porwała na podróż, darmo, trzeba się wywiezywać jak można. Do wystawiania więc jako tako Lucerny, użyję dziwnego bardzo kobiecego porównania, ale żadne lepsze nie przychodzi mi w tej chwili na myśl. Proszę sobie wystawić olbrzymie zwierciadło, czyste, precudne, które zrazu bardzo szerokie, ucieka przed okiem, gdzieś daleko coraz węższe w łęk; objęte jest w ramy z potężnych gór i skał różnego kształtu, różnej barwy, okrytych w niebotycznych szczy-

tach swoich śniegiem jaśniejącym więcej niż srebro, więcej niż brylanty; za stół zaś czyli za podstawę do tego zwierciadła, proszę wziąć sobie Lucernę, która w najznakomitszej i najludniejszej części swojej przegląda się w niem, kąpie, i wieże, kościoły, mosty, domy, drzewa swoje ustawiła, rozłożyła jakby szacowne graciki téj bajecznej gotowalni. A gdyby kto mnie pytał o panią do téj gotowalni, odpowiedziałabym: „Jest nią królowa wszechwładna, zawsze piękna, zawsze młoda, królowa, której państwem cała ziemia, ale którą jednak można nazwać w szczególności królową Szwajcaryi, natura.”

Ale zostawmy zdatniejszym porównania i dowcipy, i wróćmy sobie do prostego opowiadania. Lucerna tedy z jeziorem swoim i górami, należy niezawodnie do miejsc, które najmocniej uderzają podróżnego, a nietylko za pierwszym wejrzeniem jest tak piękna; można bezpiecznie przypatrywać się jej długo, pomieszkać nawet w niej czas jakiś bez przesylenia się; bo te góry są to Alpy, każda ma nazwisko i osobliwości swoje; widzisz przynajmniej pięćdziesiąt szczytów, których znane są nazwiska, a między innemi są wysokie 9000 stóp, jak Klaryden, Titlis, powszechnie znane i wsławione, jak Pilatus, Faulhorn, Rigi. Samo zaś mia-

sto ma właściwe sobie ciekawości i przyjemności. Najprzód, oprócz jeziora ożywiają go inne jeszcze wody, Reuss, rzeka czysta i bystra, i kanały. I tak, gdzie w innych miastach bruk nierówny, ścieki brudne, turkot powozów, tu na kilku ulicach nurty prześliczne, szum, mruczenie; z obu zaś stron wody wznoszą się domy na pół wiejskie z ogródkami, a gęste mostki romantyczne łączą oba brzegi. Możesz sobie usiąść wśród tego miasta, gdyż na miejscach do wypoczynku nie brak, i patrzeć na drzewa, na góry, słuchać szumu wody, jak gdybyś gdzie na pustyni była. Zajmujące są także i prawdziwie oryginalne wielkie trzy mosty z czternastego wieku, które są lepsze niż ulice, gdyż przykre z malowaniami. Nad jednym mostem Kaplicą zwanym, są wystawione główne czyny z dawniej historyi Szwajcarskiej, zwłaszcza z wojny Lucerny z Bernem; pod każdym obrazem jest podpis wielkimi literami, i każde dziecię miejskie biegając tam, bawiąc się, może się obeznać z dziejami własnego kraju. Na drugim moście jest znowu w trzydziestu kilku oddziałach ów dramat, tyle modny i popularny w średnich wiekach, znany *Taniec Śmierci*. Rozmaicie on był wystawiany pędzlem i piórem przez Holbeinów i Dantych owej epoki; malarz Lucerneński, choć nietyłe sła-

wny co oni, może nowym a przynajmniej swoim własnym wydał go konceptem; u niego śmierć udaje życie; przebiera się w jego szaty. Tak na przykład, w jednym obrazie wzięła ubiór woźnicy i pędzi co koń wyskoczy; dzieci siedząc w powozie, radują się, klaszczą w ręce, matkę tylko ten pośpiech niespokoi, wychyla głowę, woła na woźnicę żeby stanął, lecz gdzie tam? któż śmierć zatrzyma? Gdzieindziej znowu młoda dziewczica ubiera się na zabawę; śmierć przebrała się za służebnicę i układa jej włosy; dziewczyna niecierpliwa zapewne mówiła: „spiesz się; spiesz, ja chcę iść w pierwszą parę,” i jest w pierwszej parze, ale w innym tańcu; widać jak blednieje, głowę uchyla, i pada wraz z wieńcem róż białych, który miał wieńczyć jej skronie. Na tych obydwóch mostach i w całej Lucernie jest wiele nabożnych obrazów i pomników, zwłaszcza z żywotów Ś. Maurycego i Ś. Legera, patronów miasta, gdyż cały kanton Lucerneński 117,000 mający, jest katolik i bardzo pobożny. Aż miło było widzieć kilka kościołów otwartych i wszędzie ludzi wiele, lubo to był dzień powszedni, i do końca dnia nie przebrało się modlących, bo choć kościoły zamykają od południa, otwarty jest zawsze przystęp przynajmniej do jednej kaplicy; w kościele

Jezuitów nad ołtarzem Matki Przenajświętszej, są napisane te proste ale tak wymowne słowa: „Maria! hilf!” Nie zapomnę wrażenia, jakiego doznałam będąc tam; przyszła kobieta wiejska bardzo strudzona; wracała czy z roboty, czy z drogi, ciężar niosła na plecach, dziecko jedno miała na ręku, drugie koło siebie, uklękła, a popatrzwszy czas jakiś w te słowa, wstała rażna i lekka, widać było oczywiście, że doznała pomocy. Wiele także wdzięku i ozdoby dodaje Lucernie ubiór jej ludu; w Szwajcaryi bowiem mieszczanie i wieśniacy prawie zarówno się ubierają; każdy zaś kanton ma, jak wiadomo, strój swój. Lucernianek jest jeden z najładniejszych; mówiąc bowiem o ubiorach, rozumie się w powszechności; kobiety tylko rzadkim w dziejach niewieścich przykładem zostały wierne odwiecznej modzie, mężczyźni zaś tak się noszą jak wszędzie. Mówią niektórzy, iż ta stałość pierwszych ztąd poszła, że im w tych strojach do twarzy. Nie chcąc rozsądzać tak ważnej sprawy, wolę powiedzieć, jaki ubiór Lucernianek: krótka fałdzista spódnica jasnej barwy, niebieska albo czerwona, gorsecik czarny axamitny, haftkami ozdobny, sznurowany srebrnymi łańcuszkami, koszula i fartuszek biały, na głowie płytki i okrągły kapelusz słomiany, z kwiatkiem na bok wło-

żony, a z pod niego wymykające się włosy albo zebrane w wieniec, albo spuszczone w uploty.

Między ciekawościami sztucznemi w Lucernie, pierwsze miejsce trzyma dzieło zadziwiającej cierpliwości generała Pfeiffera, mappa wypukła całej Szwajcaryi; zdaje się; że nietylko góry, ale pagórka żadnego nie przepomniął; bardzo ten widok jest nauczający, ale co piękności w Szwajcaryi, to zupełnie takie daje wyobrażenie, jak moje porównanie do gotowalni wystawia Lucernę. Opodal od tego miasta jest pomnik więcej przemawiający, wzniesiony na uczczenie owych Szwajcarów, którzy padli w obronie królewskiej rodziny Burbonów w Paryżu 10 sierpnia 1792. Wolno każdemu uważać jak mu się podoba sprawę, której oni bronili, pamiętać jednak zawsze należy, iż przysięgli wierność królowi, nie narodowi francuzkiemu, brali żołd od niego, i cudzoziemcami byli. Szwajcarya uczciła też w nich wierność i zamiłowanie obowiązku, a głos powszechny mianował ten pomnik jednym z najpiękniejszych tego rodzaju. Bardzo prosty i pomysł i wykonanie, i tem piękniejszy; Lew (herb Lucerny) przszyty strzałą umiera zasłaniając tarczę z liljami, której już bronić nie może. Wyraz jego twarzy i oblicza maluje bolesć szlachetną, męztwo spo-

kojne, kona ale nie jest pokonany; koiosalnej wielkości, ma bowiem 28 stóp długości, 18 wysokości, leży wykuty w żywej skale. Ten szczegół nadaje temu pomnikowi dziwną harmonią, wielki majestat i jakieś piętno niepospolite. Nad jaskinią są następujące słowa: „*Helvetiorum fidei ac virtuti.*” „Helwetów wierności i męztwa,” a u spodu imiona i nazwiska tych wszystkich, co 10 sierpnia zabici zostali. Jest dwadzieścia sześć nazwisk oficerskich, żołnierskich siedmset sześćdziesiąt. Wzór tego pomnika dał Thorwaldsen, wykonał go na miejscu młody Szwajcar, snycerz Ahorn z Konstancyi. Dla czego zaś ten pomnik wystawiła Lucerna a nie inny jaki kanton, tego prawdziwie nie wiem; zresztą Lucerna jest jedną z trzech stolic Szwajcarskich przeznaczonych na miejsce obrad krajowych, to jest, że z kolei sejm federacyjny odbywa się raz w Bernie, drugi raz w ZÜRICH, a trzeci w Lucernie; bo nie zawadzi tu przypomnieć, że Szwajcarya jest państwem federacyjnem czyli związkowem; każdy z jej 22 kantonów jest osobną rzecząpospolitą i ma osobny rząd swój i radę, ale wszystkie razem składają jedną federacją i mają wspólne narady swoje czyli sejmy. Właśnie w czasie przejazdu naszego przez Lucernę odbywał się sejm, i zapewne więcej mu-

siała być ożywiona jak zwykle; wszyscy bowiem ministrowie zagraniczni zjeżdżać zwykli na te obrady. Widzieliśmy Nuncyusza Papieżkiego w fi-joletach, jak szedł przez most kaplicy z orszakiem swoim, rozmawiał bardzo żwawo z jakimś, jak się zdawało, dygnitarzem sejmowym. Podobno też toczyło się na tym sejmie najwięcej o spory nigdy nieprzebrane katolików z protestantami; nastąpiła nawet była z téj przyczyny w ciągu bie-żącego roku krwawa wyprawa między dziećmi je-dnej matki, w jednym z najbiedniejszych kanto-nów: w Walezie. O! jak to trudno pojąć, żeby na cześć Boga pokoju, bracia braci zabijali! Lecz zamiast rozmyślać nad smutną kartą dziejów ludz-kości, wolę opisać jeden obraz, chowany staran-nie w Lucerneńskim ratuszu. Podobnie jak malo-wania na moście nie zaleca go pędzel mistrzo-wski, tylko treść jego. Bo już to wogólności starzy malarze tamedzni więcej zasługi mieli w pomysle niż w wykonaniu, w tém co zrobić chcieli niż w tym co zrobili. Przepomniałam dnia i roku, lecz w jednej z ciągłych swoich wojen z Szwajcarami, Austriacy wypędzeni z Lucerny chcieli podejść miasto, zmówiwszy się potajemnie z kilką niecnym mieszczan. Zszedłszy się poraz ostatni, ułożyli: iż nazajutrz wieczór z przekupio-

nemi przewoźnikami podpłyną jeziorem z stem beczek i wylądują, a w każdej beczce będzie żołnierz; mieszczanie zaś spiskowi skoro północ wybije, wyjdą do nich, i oni przy bramy otwarciu wpadną, uderzą i posiadą miasto. Tak wszystko ułożywszy, kiedy już rozchodzić się mieli, postrzegli, że wysłuchał ich chłopczyk dziesięcioletni spiący w przyległej komorze; niektórzy zabić go chcieli, ale większa liczba, zapewne ojcowie, sprzeciwili się zbrodni, kazali mu tylko przysiądź na obraz Zbawiciela ukrzyżowanego, że żywej duszy nie powie słowa o tem co słyszał. Chłopczyk przysiągł, ale skoro oni się rozeszli, wymknął się ze swojej komory i chodził po wszystkich ulicach szukając jakiego otwartego domu; zdybał nareszcie gospodę rzeźników, i w niej wielu członków tego rzemiosła; wszedłszy do izby obrócił się do pieca i jak mógł najgłośniej powiedział: „Piecu, słuchaj mnie, ważną rzecz ci powiem. Oto jutro w wieczór podpłyną Austriacy jeziorem ze stem beczek i wylądują, a w każdej beczce będzie żołnierz. Spiskowi zaś których mają w mieście, skoro północ wybije, wyjdą do nich, i oni wszyscy przy bramy otwarciu wpadną, uderzą i posiadą miasto.” Zdziwieni rzeźnicy tą mową do pieca, poznali od razu jój znaczenie, nie

badając go więcej, poszli do urzędu i powiedzieli wszystko. Przedsięwzięto środki. Lucerna ocalała została, a dziecię uczczone i nagrodzone za wyborny wybieg swój.

Teraz nacieszywszy się Lucerną i jej pamiątkami, wypada mi przystąpić do jednej z najważniejszych wypraw czyli przepraw naszej podróży, o wstąpieniu na górę Rigi. Góra Rigi ztąd ma sławę swoją, i stanowi jedną z obowiązkowych wycieczek wędrownika po Szwajcaryi, że jest odosobnioną od innych gór, dostępną, a tak szczęśliwie położoną, iż z jej szczytu wzniesionego na 5,220 stóp nad powierzchnią morza, widzi się cały łańcuch Alp, całą niemal Szwajcaryą; gdyż jak mówią niektórzy, w dzień bardzo jasny, oko sto mil w koło objąć może z jej szczytu. Słynie także zaletą, wspólną podobno wszystkim odosobnionym górą, że z jej wierzchołka wschód i zachód słońca wydaje się cudniej niż gdzieindziej, bo promienie jego czy niknąc czy okazując się, mają pole do roztaczania gry swego światła. Każdy tedy chce nie tylko być ale nocować na Rigi. Wiele osób dojeżdża do stóp jej z Zürich; ale większa liczba jedzie z Lucerny, jeziorem, bo krótsza droga, a wyprawy Szwajcarskie im krótsze tém lepsze, pewniejsza pogoda. I my pewni byli, że

nas nie zawiedzie; nie może być piękniejszego dnia jak był ów czwarty Lipca, kiedyśmy się zaraz po południu na Rigi wybrali; niebo roztoczyło namiot swój błękitny, ziemia wystąpiła w świątecznym stroju, oczy bolały od blasku gór śnieżnych, odbijających promienie słoneczne, i nikomu zapewne jezioro Lucerny, a raczej jezioro *czterech kantonów*, gdyż takie rzetelne jego nazwisko, nie mogło się ukazać w cudniejszej barwie. Ani się też silić będę na wydanie, nawet na przypomnienie owych wszystkich dziwów natury, w łonie których człowiek pływa sobie bezpiecznie na tych lazurowych wodach, wśród tych skał, których gdzie niegdzie prawie ręką się dotyka, wśród tych romantycznych wsi, miasteczek, tych świeżych pól i ogrodów, tych starych wież i udatnych kościółków, to zawieszonych na górach, to kąpiących się w jeziorze. Zdaje mu się, że to wszystko dla niego tak się ułożyło i zrobiło w tej chwili, i wnet odmieni się i zniknie; gdyż nie sposób żeby coś tak pięknego trwało zawsze, albo żeby było od dawna, a on tego dotąd nie widział, nie uwielbiał. Napływawszy się tém cudnym jeziorem dowoli, wysiedliśmy w Weggis, ładnej miścinie czy wsi, a tam z gospody cale porządnej, po dosyć długich układach, targach,

przygotowaniach, puściliśmy się w kilkanaście osób na górę. Jedni ruszyli konno, drudzy pieszo z owemi wielkimi kijami z kolcem żelaznym, towarzystwem koniecznym wędrowca w Szwajcaryi; przewodników zaś i pomocników było niemal tyle co podróżnych. Dla mnie samój było ich trzech, bo mnie niesli w krzesła z wielkim moim wstydem i upokorzeniem. Trudno tego nie przyznać, nie tylko nie męczy podobne wstępowanie na najwyższą, najstromejszą górę, przyjemny jest ruch tego jednostajnego i rozumnego kroku, lecz przytém bardzo jest przykro widzieć, że dla naszej wygody ludzie w sprzężaj się zamienili, i wyznają że z początku, ile że już od lat trzynastu podobna rzecz mi się nie trafiła, nie używałam zupełnie otaczających mnie piękności. Jeszcze jak na przekorę, jak w katolickim i pobożnym kantonie są tam kapliczki częste i stacye krzyżowe; jak przyszło do téj, gdzie Zbawiciel krzyż dźwiga obłany potem, moi nosiciele stanęli i z upodobaniem patrząc na święty obraz, ocierali pot swój z czoła. Im to ulżyło, ale mnie bynajmniej, zdawało mi się, że jest z rodu Annaszów i Piłatów, i byłabym rada uciec z tego krzesła. Wnet jednak, czy to przekonawszy się, że owi ludzie bardzo sobie weseli i kontenci ze spodziewanego zarobku, czy też od-

dawszy się wyłącznie temu com widziała, wyglu-
zowałam z serca owe litościwe uczucia a raczej
zapomniałam o nich. Trzeba doznać tego, wzno-
sić się w cudnej i rozległej okolicy na bardzo wy-
soką górę, żeby sobie wystawić co to jest ten
rzut oka, kiedy gdzie z umysłu zatrzymają się
gdzie widok najpiękniejszy, i ty spojrzysz. Czło-
wiek, to takie nędzne stworzenie i tak z lada cze-
go chlubę ciągnąć umie, iż dla tego że się wzniósł
tak wysoko i tyle rzeczy jednem spojrzeniem ogar-
nie, już się ma sam za coś wielkiego i nadzw-
yczajnego. Mnie się zdawało na tym Rigi, że ja ro-
snę, że skrzydeł dostaję, że mi już bardzo blisko
do nieba. A nie tytko to co się widzi, u stóp góry
przecudne jest, ale i koło siebie patrzeć warto.
Najprzód czteromilowa droga dosyć łatwa, nigdy
jednak nie ciasna, miejsca jest na dwóch ludzi,
wiedzie wśród wiosek i pysznych drzew owoco-
wych; dalej uderzają cię skały a raczej ogromne
kamienie, które w jednym miejscu arkadę natural-
ną tworzą, pod którą przechodzisz. Wszędzie te
kamienie ciebie zastanawiają, bo nie są z jednej
sztuki, ale złożone jakby ze żwiru różnej wielko-
ści i zlepione w jedną jakąś masę, zupełnie jak
angielski pudding, mocno rodzynkami i migdałami

natkany; nie wiem też co dla czego, czy nos dla tabakiery czy tabakiera dla nosa, ale ten rodzaj skały czy gór, zowią niektórzy naturaliści pudding. Dalej widzisz zielone pastewniki, szalety, budki i krów pasących się niezliczone mnóstwo; nie brakuje na strumykach i na wodospadach, nareszcie wznosząc się coraz wyżej napotykasz dwa znaczne domostwa, dom kąpieli zimnych Kaltebad, dalej gospodę Staffel. Jużes wtedy na odwrotnej stronie góry; i tam patrząc na dół, dostrzegać znowu innych możesz jezior i miast, aż nareszcie stajesz na szczycie góry na Kulmie, płaszczyźnie dosyć rozległej, na której jest gospoda i ta oczywiście najbardziej uczęszczana; bo, powtarzam, iż powiadają, że sto mil oko obejmuje z tej góry, widzisz więc tak kołując cały obraz czterech kantonów, od którego Lucerneńskie jezioro bierze swoje nazwę. Na Rigi już trochę bylam kontenta, bo przecież ta gospoda ma w sobie cośkolwiek wiejskiego, dzikiego, pokoiczki nizkie. Śliczna to rzecz te wspaniałe hotele, gdzie wszystko równie dobrze a czasem lepiej, wspaniałej jak w domu; ale dla odmiany dobrzeby niekiedy, nie przyjeżdżać tak do gotowego, na pieczone gołąbki do gąbki, a czasem to i tęskno

po naszych karczmach, po naszym krzątaniu się,
 kucharowaniu. Piękna mi rzecz wdrapać się na
 niedostępną górę i znaleźć tam murowany hotel,
 różne specyały i Anglików!.....

VIII.

MYŚLI I ZDANIA MORALNE.

VIII.

MYŚLI I ZDANIA MORALNE.

Autoremie francuzey.

Bzisiejsi autorowie francuzey chcą przed czasem ludzi zaszarżec, mówić wszystko.

Bogactwo.

Na ile być bogatym: Ale na ile szlaku, żeby mając, wzywac, udzielać, niemając objąć się i nie wierzac, ani też szarżować.

wó naszych karkach, po naszym strzępku się
 bucha owana. Piękna mi rzecz widać się na
 niedostępną górę i nałazę. Jam muszany hotel
 różne sprawy i Anglików.

VIII

MYSŁ I ZDANIA MORALNE

VIII.

MYŚLI I ZDANIA MORALNE.

Autorki.

Kobietę, która śmie ogłaszać myśli swoje, lubią niektórzy oddzielać od drugih; ona powinna być taką jak wszystkie.

Autorowie francuzcy.

Dzisiejsi autorowie francuzcy chcą przed czasem ludzi zestarzeć; mówią wszystko.

Bogactwo.

Nie źle być bogatym. Ale na tem sztuka, żeby mając używać, udzielać; niemając obejść się i nie narzekać, ani też zazdrościć.

— Bogactwo mianują rodzajem kary; jakąż to ujma przyjemności w życiu, kiedy bez pracy zupełnie obejść się nie możemy, i kiedy, aby być czynną, trzeba wymyślać sobie zatrudnienia. Dom majątnych ludzi, stawia zwykle widok ubogiego i bogatego próżniactwa: śpiących służących i nudzące się panie.

— Bogactwo poniekąd trucizną; żeby się nie otruć, trzeba je chować nie w szkatule, lecz w sercu.

— Bogactwa nigdy nie dały cnoty: ale cnota, nie raz dała bogactwa.

— Majątek dla wielu kobiet, jest jakby złotą zaporą między nią a szczęściem. Wszystko może co chce, wszystkiemu dogadza, o nikogo nie dba; i najczęściej ani zdrowia, ani metody, ani przyjaciół nie ma.

— Kto bogaty w pieniądze, powinien być w miłość ku nim ubogi. Dobrze mieć wygodę bogactw na tym świecie, a zasługę ubóstwa na drugim.

— Z bogaczami, zdaje się Bóg taki układ czyni: dają wam uciechy, zaszczyty, ale macie kłopoty i troski w równej mierze.

— Stan wyniesiony jest częstokroć zbiorem wielkich obowiązków i wielkich przeszkód do ich dopełnienia. Bogactwo jest jak owe łożko zbyt

miękkie i wygodne, w którym zasypiając, zaniedbujemy prac i obowiązków.

— Bogaty bronić się musi albo od marnotrawstwa do którego lenistwo ciągnie, albo od skąpstwa do którego chciwość prowadzi.

— Ludzie ci poświęcają zdrowie i spokojność na nabycie bogactw, postępują wedle słów Joba: „Kopią, kopią, myślą że skarb znajdą, aż tu znajdą grób.”

— Sława głupiego bogacza, najgorsza po sławie złego człowieka.

— Nie ma większej podłości, jak rozmyślnie upokarzać ubóstwo.

— Pycha i pogarda ubogich w sercu bogaczy, oburza mnie i dziwi. Pan Bóg dał ci tyle, że stroisz się, bawisz; maszże czoło, zamiast wdzięczności i pokory gardzić temi którychbyś raczej przeproszać powinna.

— Szkoda, że bogactwo czyni nas częstokroć szacowanemi, nie czyniąc szacowniejszemi.

— Nie pragnij dóbr których nie masz, nie zaturzaj serca w tych które masz, nie żałuj bez miary straconych; oto konieczne prawidło dla bogatych.

Choroba.

Miej ufność w lekarstwach, ta ufność kiedy rozsądna, jest pobożną; bo wierzyć w ziółko, w kwiatek, w kruszec, że pomoże naszemu zdrowiu; nie jestże to ufać i wierzyć temu Bogu, który ziółka, kwiaty i kruszce stworzył i niektóre jedynie dla ulgi naszej?

Cierpienia.

W cierpieniu wzmaga się pobożność, myśl do drugiego życia się zwraca. Myśl wieczności, uczucie nieśmiertelności, są jak dwa skrzydła, które duszę najwięcej przygnębioną unoszą, i zdaje się że nie ma nieszczęścia, któregooby człowiek wzmocniony tą wiarą znieść nie potrafił. Niczem niedole kilkoletnie dla tego który stale ufa i wierzy, że po nich wieki szczęścia nastąpią.

Cierpliwość.

Bądźmy mężne, krótka i mała wojna, a długa zapłata.

Cnoty i przymioty.

Życie domowe więcej cnot, towarzyskie więcej przymiotów wymaga. Ta potrzeba tak dalece jest

widoczną, że nawet niemiłe są osoby, które w towarzystwa cnoty noszą a przymiotów nie mają.

Człowiek, dusza.

Trzy władze uznajemy w człowieku. Przypisałabym rozumowi myśl, sercu czucie, duszy czyn a raczej możność myślenia; albo część myśląca jest rozumem, możność kochania czyli część kochająca, sercem; możność czynienia, czyli część czynna, duszą.

Człowiek.

Przeznaczeniem człowieka jest praca, obowiązkiem umiarkowanie, sprawiedliwością ludzkość i tolerancja, szczęściem mierność, chwałą cnota, a nagrodą zaspokojone sumienie.

Czułość.

Czułość prawdziwa łączy się z dobrocią, z lietością i zupełnie do serca należy; czułość przesadzona, jest pod władzą imaginacyi.

— Prawdziwa czułość w kobiecie, nigdy nie oczekuje równej zapłaty za to co daje, ani szczęścia równego temu jakie chce sprawić.

— Prawdziwa czułość używa, nieprawdziwa zagarnia.

— Czułość stanowi największy powab kobiety, ale powinna być prawdą; bez prawdy nie rozumem ani cnoty, ani szczęścia.

— Jedni chcą usypiać, drudzy budzić czułość; najlepiej kierować nią, to jest zwrócić ją zastanowieniem do rzeczy jej godnych.

— Każda kobieta mówi że jest czułą; byłaby czasem ochota zapytać: dla kogo?

— Nie jedna nieszczęście sprawia tych których kocha, a małym kosztem uszczęśliwiłyby ich mogła; trzebaby tylko mniej być zajęta swoim przywiązaniem, zapomnieć swoich uczuć, a więcej myśleć o osobach co je wzbudzają.

— Iskra uczucia najpierwsza się zapala i ostatnia gaśnie u wszystkich ludzi; ale u mężczyzn rozum ją przysłania, bo mężczyźni żyją w sferze myśli, kobiety w sferze uczucia.

— Kobieta kocha najprzód, a sądzi potem.

— Uczucie, przywiązanie, zastępuje czasem miejsce sumienia w kobiecie, a raczej jest jej sumieniem.

— Śni nam się czasem o wybornych potrawach które jemy, ale które nie nasycają. Podobnie do

tych snów, uczucia zbyt uczucie, przesadzone, nie mają zasługi.

— Przez serce, kobieta staje w równi z towarzyszem swego życia.

— Lepsza jednak przesada czułości, niż jej brak.

— W kobiecie, czułość i dobroć więcej popłaca od nauki; każdy sobie mimowolnie powie przedstawiając z nią: co ona umie, każda inna umieć może; ale serce to jej własne.

Czytanie romansów.

— Umysł zatrudniony czytaniem samych romansów, podobnie jest słaby jak dzieci na rękach noszone, jak żołądek samemi łakociami karmiony.

Dobra sława.

Dobra sława zostanie po nas na tej ziemi, choć my z niej znikniemy; będzie wianem córek naszych, będzie zaletą synów, chlubą rodziny.

— Dobra sława jest zapachem cnoty, zadatkiem ufności, owocem dobrego postępowania, pomocą w niedoli.

— Łatwo ten własnego szacunku się pozbędzie, kto bez szacunku ludzkiego obejść się umie.

— Mężczyzna który tylko o imię i sławę dba, może nie być zupełnie cnotliwym; ale kobieta innym sposobem sławy nie pozyska, jak tylko dopełnieniem powinności.

— Pisz, mów, czyn, postępuj zawsze jak gdybyś tysiące świadków miała; pominąwszy nieśmiertelnego świadka spraw naszych, ludzie prędzej czy później o wszystkim się dowiedzą.

— Pókiś panną, dobra sława zwabi ci męża; kiedyś żoną, utrzyma ci go w szacunku i przyjaźni; skoro zostaniesz matką, zapewni wziętość twym synom, postanowienie córkom.

— Dobrze jednak czyniąc, nie myśl o pochwałach; zajmij się tem co czynisz i własną roskoszą.

— Dobra sława niech nami nie powoduje, ale niech nas zachęca.

— Trwałą sławę jedną tylko rzetelne przymioty; udane lub przemijające, prędzej czy później na wstyd wychodzą i gorycz przynoszą. Lepsza zasłużona nagana, niż niezasłużona pochwała.

— Zasługa wynagrodzona szacunkiem drugih, już nie do nas samych należy; jeśli ją zmarnujemy, upomnieć się o nią mogą ci, którzy nam ją pochwałami opłacili.

— Niewieście cnoty są pospolicie ciche, ukry-

te, domowe; niech się więc nie zniechęcają niedostatkiem pochwał.

— Szacunek drugich, nigdy za szacunek siebie samęj nie stanie.

— Jest to już wielki dowód dobrego imienia kobiety, kiedy nikt w jej obecności nieprzystojnego słowa sobie nie pozwoli.

— Zbytnia bojaźń o utratę dobrego imienia, jest znakiem słabęj onego podstawy. O most drewniany, za najmniejszą powodzią obawa, o kamienny, przy największej nikt się nie lęka.

— Można nie dbać o sławę, ale trzeba dbać o dobre imię.

Dobroć.

Żeby zawsze być dobrym, trzeba czasem być zbyt dobrym.

Dobry humor.

Jednostajny i miły humor, jest rodzajem cnotliwej wesołości.

Drogi żelazne.

Drogi żelazne tem są do dawnych gościńców, czem druk do pisma, i zapewne równą sprawią rewolucyą w oświacie i w stosunkach ludzkich.

Drzewa.

Ja mam, że tak powiem, nabożeństwo do drzew starych i zupełnie mi było tęskno w Paryżu i okolicach jego bez tych starców roślinnego rządu. Najpiękniejszym drzewem w Paryżu, jest dąb w lesie bulońskim przed Chateau de Madrid, w okolicach St. Cloud. Na wzgórzu Ś. Anny koło Chatillon sur Seine, jest dąb zasadzony w 1070 r. pod pierwszą rassą hrabiów Szampanii; ma więc dziś lat istnienia siedmset kilkadziesiąt. Ma 33 stóp wysokości, a pień liczy 22 stóp obwodu. Pień ten, jest spróchniały i utrzymuje się drzewo prawie korą tylko. Niemal wszyscy przechodzący biorą kawałki téj kory na pamiątkę.

Duch czasu.

Dzisiejszy stan polityczny, przypomina reformę w 16^{ym} wieku; czem wtedy była religia, tem dziś polityka, czem wtedy sobory, tem dziś kongressa. Dziwimy się dziś wojnom religijnym, przyjdzie pora, gdzie się dziwić będą nietolerancyi dla swobody.

Dumanie.

Jedyne dumanie jakie pozwałam sobie, to czasem w wieczór patrząc na niebo gwiazdziste;

przerobiwszy się sama z romansowej, z kontemplacyjnej, w czynną i niezmiernie prostą osobę, przecież tego jednego wytępić z siebie nie mogłam, i nie mogę powiedzieć, żebym na tem traciła patrząc w niebo, myślę o niebie, o Bogu, nabieram nadziei, odwagi. Nie wiem czy jest istota tak nieszczęśliwa, któraby choć jednej osoby nie kochała więcej niż siebie.

Dzień i noc.

W smutku bojemy się nocy: ciemności jej nadto są podobne do stanu służby naszej, wyglądamy zatem niecierpliwie dnia. Słońce zdaje się jako wyziew bóstwa, jako świetny posłannik wysłuchanej modlitwy.

Emigracya.

Przez pierwsze lata bywa dosyć wesoła; w niektórych nawet tańce, zabawy, stroje, uciechy. Wszystko to wolnieje pomału, aż nareszcie zapas wesołości, przebierze się zupełnie. Tak drzewo silne wyrwane na wiosnę z ziemi i obalone na trawę z obnażonemi korzeniami, przez czas jakiś puszcza i rozwija listki zarówno niemal z innymi

co koło niego stoją, ale wnet przebierze się
zapas życia, więdnie zwolna i nareszcie usycha.

Furyeryzm.

System Furryera, nigdy się nie da wykonać. Ale
w tem wszystkim co już jest w podobieństwie,
jak to, co się tycze szkół, warsztatów, fabryk,
klasztorów i tym podobnych stowarzyszeń, nale-
żałoby wiele brać z niego i jego postrzeżenia po-
prawiać, ulepszać.

— Urządzić w sposób furyerowski rodziny i lu-
dzi będących bez sposobu życia, bardzo dobrze; ale
społeczeństwo, na to się nie zgadzam i to być nie
może. Ręczę że nawet chłop nie chciałby porzu-
cić nędznego, nieprawdziwego *u siebie*, dla naj-
wygodniejszej spółności. Cóż dopiero ludzie zasob-
ni i wolni?

Głupia żona.

Światłemu mężczyźnie mieć głupią żonę, jest
to samo co malarzowi znajdować się między nie-
widomemi, lub muzykowi między głuchemi; nie-
zrozumiany, nieoceniony, innych oczów i uszów
szuka.

Gniew.

Z zbytniego pobłażania dzieciom, rośnie w nich namiętność gniewu. Dobrze wychowana osoba, może być skłonna do gniewu, co zowią pasyonałką, ale nigdy nie zapomni się zupełnie, jeśli nawyknie do mocy nad sobą, jeśli wstyd mieć będzie i dbałość o dobrą opinią. Nie pojmuje jak można nie wstydzic się gniewu.

Góry.

Gór wierzchołki najwcześniej i najdłużej światłem słonecznym oświecane, przedstawiają obraz tych tęgich umysłów, tych ludzi dzielnych i rozumnych, którzy wczesnie mądrość pojęli i do późnych lat szli jej drogą. Dolina, jest to gmin w ciemności.

— Milszy nam kraj górzysty niż płaski, bo góry zakrywając nam widoki, nęcą ciekawość naszą i pobudzają wyobraźnię; każda tajemnica ma jakiś wdzięk uroczy.

Groby.

Dobry zwyczaj wyrzynać na grobach godła powołania swego; znaki pracy dobrze się wydają na kamieniu spoczynku.

Gusta.

Do miłego życia, tak gustów niewinnych i czystych potrzeba, że lepiej stworzyć nowy, niż zaniedbać wrodzony.

— Uczucie pięknego, niepojęty ma wpływ na moralność, a nawet na religijność naszą. Sam Stwórca miał upodobanie w piękności: nie na próżno ozdobił ptaki i kwiaty tak wspaniałą barwą.

Historycy dzisiejsi.

Chcąc widzieć w koło siebie rzetelnie, zwłaszcza w trudnym i zawiśłym położeniu, trzeba poniekąd swój własny interes oddalić, trzeba, że tak powiem, zasłonić się ręką od światła, a patrzeć na okolicę. Podobno to powinność historyka czasów obecnych. Choćby się zdawało, że grał w nich rolę, należy mu zasłonić się, rękę przed światłem położyć, umieścić się w cieniu, a drugich malować w jasności.

Języki obce.

Moim uszom żaden język nie wydał się tak miły, tak dźwięczny jak ojczysty; może być że jak niektórzy władzcy mają uszy u kolan, tak ja sercem słyszę.

Język ojczysty.

Jeden ze sławnych głuchoniemych Leclerc, uczeń Sicarda, najwięcej dla tego ubolewał nad losem własnym i sobie podobnych, że żaden język nie może być dla głuchoniemego ojczystym. A my tak pogardzamy tym przywilejem, tą słodyczą, tą korzyścią!

Imaginacya.

Rządz imaginacyą aby ci nie truła chwil obecnych, rządz nią i władać, bo inaczey ona tobą władać będzie; a to kapryśna monarchini która swoich tylko roskoszy szuka, mało dbając o podanych szczęście.

— Kto układa przyszłość swoją, kto buja, dla tego szczęście zawsze widowym gościem będzie. Coraz mu inną buduj gospodę, ono nigdy do niej nie zajędzie.

— Imaginacya jest zbytkiem myśli co się gotów zmarnować bez żadnego użytku, jeśli mu użytecznej pastwy nie dasz.

— Dwojaka jest imaginacya: jedna zdolności osób rozumnych, druga istot cierpiących i ograniczonych: jedna darem, druga choroba.

Kobiety.

Mówiono zawsze o synach: *potomkowie po mieczu*, a o córkach: *potomkowie po kądzieli*, Nie lubię kiedy kobieta porywa za miecz, a mężczyzna za kądziel.

— Kobieta nie wykona wielkiego czynu: ale go pojmie i zrozumie.

— Skromna, w zaciszu żyjąca i domem zajęta kobieta, przypomina mi owe polne i leśne kwiaty, które rosną tam gdzie je zasiała ręka przyrodzenia i jaśnieją przyrodzonymi tylko wdziękami. Kwiaty ogrodowe, to już kobiety światowe, a oranżeryjne, elegantki, lub te z naszych Polek co za granicą żyją.

— Fortuna nie przyjdzie po mężczyznę, musi jej szukać; na kobietę w domu czeka.

— Kobieta powinna mieć naukę bez pedanteryi, talent bez pretensyi, cnotę bez dumy, szczęście bez świadków, wesołość bez wielbicieli.

— Kobieta ma pierwsze miejsce w towarzystwie, ale podręczne miejsce w społeczeństwie.

— Kobieta powinna umieć wszystkie drobne rzeczy o których mąż nie umie mówić, i na wzajem powinna umieć mówić o rzeczach ważnych, które tylko mąż zna i wykonywa.

Kobieta dojrzała.

Poznasz kobietę dojrzałą po tem, że lepiej w ścisłym towarzystwie kobiet niżeli w męzczyzn smakować będzie; póki jest chęć podobania się, póty nas kobiety nudzą, bo nam zawadzają.

— Męzczyzna gdy dojrzewa, wchodzi na pole, nie schodzi; nie jednego włos siwy cieszy, to mu powagi dodaje: nie wzbudzi zaś tego uczucia w kobiecie. Czem fortuna dla męzczyzn, tem miłość dla kobiet: ich pobudza próżność do panowania nad ludźmi, nas nad męzczyznami.

— Wiek dojrzały patrzy nim przekroczy, młody ani spojrzy.

— Przejście z wieku młodego do dojrzałego, dla tego jest przykre, że wtedy pospolicie przestajemy się podobać.... tego żalu, żadnym sposobem mieć nie powinny kobiety zamężne, bo przyjemności towarzystwa męzczyzn, wdzięki zabaw są dla panien.... Dla tego to bardzo jestem za późniejszymi małżeństwami; niech się panny wytańcują, wybawiają, wypodobają, a z zamężciem odechce im się tego wszystkiego. Doświadczyłam tego na sobie: poszedłszy za mąż, byłam ciągle i zawsze tak szczęśliwą jak dawniej, ale już w towarzystwie nigdy nie tak dobrze nie bawiła

jak panną będąc, nikt mnie już nie interessował, i z wolna towarzystwo kobiet zrobiło mi się miłsze niż towarzystwo mężczyzn. Prawda że nigdy piękną nie była, ale będę zapewne z małej liczby kobiet, które swęj młodości bynajmniej nie żałują.

— Odmianę wieku w kobiecie, kwiaty w doniczkach bardzo przypominają. Póki kwitną, na czele stoją i każdy niemi się popisuje; niechże tylko liść zostanie, idą w odstawkę i kobietą niemłodą jak uschłym kwiatem gardzą.

— Kobieta powinna by tak zapomnieć że była młodą, jak inni o tem względem niej zapominają.

— Częstoż kobiety wieku dojrzałego doszedłszy, same nie wiedzą jak się to stało, co im braknie i co się zmieniło na tym świecie. W takim przypadku obwiniają zwykle jaki wypadek i jaką okoliczność, które są w tym względzie najniewiniejsze. Znałam kobietę co zestarzawszy się w r. 1830, wszystkie swoje niesmaki zarzucała na wstrząśnienia polityczne.

Koleje ludzkie.

Dnia 24 Lutego 1785 r. w Montpellier w skromnej gospodzie, kobieta, młoda jeszcze, płakała gorzko nad umarłym ciałem. Było to ciało męża

jěj, a oprócz własnej boleści, krążyło na jěj sercu 8 dziełek sieroctwo. Kobieta szlchetnego rodu, nie była majątna i ani wiedziała, jak sobie z taką liczną rodziną poradzi, jak ją wychowa, jak córki wyda za mąż, synów postanowi. Ta sama kobieta we dwadzieścia kilka lat potem, w wspaniałym pałacu w Paryżu, otoczona dworem, jaśniała szczęściem i chwałą, a dzieci tak wyszły:

Józef najstarszy, został królem hiszpańskim,

Eliza, wielką księżną Toskanii.

Lucyan, wyższym nad królów, bo nie chciał korony.

Paulina Borghese, księżną Guastalli.

Ludwik, królem holenderskim.

Karolina, królową neapolitańską.

Hieronim, królem westfalskim.

Napoleon, panem świata.

Bo tą kobietą była Letycya Bonaparte. Ale ktoby na nią w 10. lat spojrział, o jakążby nową zmianę losu zobaczył! Żaden syn, żadna córka, nie ostali się na tronie, a syn najukochańszy, uwięziony na dalekiej skale.

Kardyban.

Lubię ten kwiat, bo pamiętam, że był pierwszym króry uważałam w życiu swoim. Trzy lub cztery lata

mając, przez zimę rozwinął się mój rozum i gdy wyszła na wiosnę do ogrodu, ten kwiatek mnie zastanowił i podobał mi się niezmiernie.

Kwiaty.

Jaka przyjemność znać ich jak najwięcej. Kiedy jestem w lesie, na łące, gdzie wszystkie prawie drzewa, wszystkie kwiaty nazwać mogę, zdaje mi się że jestem we własnym kraju, u siebie, rozumiem język którym do mnie ziemia przemawia. Kiedy wejdę do szklarni jakiej, jakbym w obcy kraj wjechała: nie rozumiem tego języka doniczek, to greczyzna dla mnie.

Lenistwo.

Kto mówi „nie nie robić, nie jest źle robić” myli się. W nieczynności jest występki, bo Bóg każdą rzecz na pewny cel stworzył, od każdego więc chce pracy i zatrudnienia do stanu stosownych. Leniwy niweczy zamiary Boga.

Los odmienny.

Kiedy widzę kobietę, która wielkości i roskoszy świata używa, a siostrę jej lub przyjaciółkę, która

ciche i ubogie życie wiedzie, zawsze mi się przypomina ta bajka Krasickiego:

„Potok szybko biegący po pięknej dolinie
Wymawiał wielkiej rzece że pomału płynie,
Rzekła rzeka: nim zajdą porankowe zorza,
Ty prędko, ja pomału wpadniemy do morza.”

Macierzyństwo.

Miłość macierzyńska prędkością, dzielnością swoją ma instykt jakiś, a rozciągłością, trwałością i mocą coś boskiego ukrywa; stała się też godłem słów najwymowniejszych.

— Są matki czulsze dla dzieci póki młode, a zimniejsze kiedy starsze; czynią więc najwięcej ofiar wtedy jeszcze, kiedy dzieci na tę miłość i starania odpowiedzieć nie mogą.

— Matki nie powinny zapominać, że dzieci nie były im dane aby należały do nich, aby były roskoszą ich oczu i wdziękiem ich życia, ale są tylko zakładem, rzeczą pożyczoną.

— Matki w wielu względach, powinny na nagrodę w przyszłości rachować: ale niech pamiętają że są konieczne warunki pod którymi przyszłość dotrzymuje słowa.

— Nie chwal nigdy dziecięcia twego, nie wy-
noś jego zdolności, dowcipu; ile to talentów udu-

szonych w dzieciństwie rzucanemi w kolebkę wieńcami.

— Nie psuj dzieci swoich zbyt zbytecznem kochaniem; smutna to radość dla matki, kiedy córka uzna że jej nie kochał nikt tylko ona.

— Rodzice dużo świadczą dzieciom, a nie wymagają nic więcej jak tylko cnót.

— Zdaje się że w obowiązkach rodzicielskich, nierównie większy ciężar matce powierzonym został; chciała zapewne Opatrzność więcej dać tej, która tym powinnościom cała oddać się może; a mniej temu, który przedewszystkiem obywatelem być musi.

— Bóle i radość kobiety rodzącej, zwiastuje od razu przeznaczenie człowieka, życie obecne i przyszłe.

— Miłość się zmienia, przyjaźń znika, ambicya słabieje; w miłości zaś macierzyńskiej jest coś nieśmiertelnego.

— Są osoby, które nie będąc matkami, znają macierzyństwo: bo edukacya dobrze zrozumiana i dobrze udzielona, jest rodzajem stworzenia które podobne do macierzyństwa.

— Mam przekonanie takie o sprawiedliwości Boga, że z każdym nowym obowiązkiem powstaje nowa moc moralna w człowieku. Pewno więc

jestem, że z macierzyństwem wlewa Bóg w kobietę nowe cnoty i światło, spuszczać na nią ducha swojego, zsyłając jej anioła, a tym aniołem jest dziecię.

— Kobieta powinna umieć być żoną i matką, łączyć w sobie te dwie godności. Kto wie jednak, czybym obowiązkom żony nie dała pierwszeństwa, bo przynajmniej wtędyby córki dobry wzór miały, synowie nauczą się co jest szczęście małżeńskie.

Małżeństwo.

Małżeństwo dobrane, jest to stan w którym trud życia już się nie czuje; gdzie jest myśli zamiana, tam każde życzenie zrozumiane, spełnione. Ale ten stan błogi ma największe słodycze dla tych, którzy już burz serca doznali: innych znużyć może.

— Niedobrane na pozór stadła, nie są niemi częstokroć rzeczywście. Podobieństwo charakterów i gustów wcale szczęścia w pożyciu nie stanowi i może dla dobra ogółu, koniecznie potrzebna mieszanina. Rządno np. ożeń z rządno, a będzie jedna rodzina rządno; gdy tymczasem rządno ożeń z rozrzutno a rozrzutno z rządno, będzie ich dwie.

— Wiek zbliżony małżonków, koniecznie do szczęścia małżonków potrzebny; zwierciadło które wspaniałe przedmiot pokazuje, nie więcej zmienia jak czas i wiek.

— Żaden mąż nie zna dostatecznie żony którą do serca przyciska, póki z nią przez srogie próby niedoli nie przejdzie.

— W stanie panińskim najczęściej góruje *ja*, w stanie małżeńskim *my*, w stanie macierzyńskim *on* lub *ona*.

— Miłość małżeńska wzajemna, jest rodzajem religii, obyczaje jej, czią zewnętrzną. Tkliwa i cnotliwa kobieta, tak się modliła: „Panie, daj mi wychować dzieci cnotliwie i umrzeć zanim miłość mego męża minie.”

— Kiedy małżeństwo kocha się prawdziwie, boleść sama słodyczy nabiera: smutek jest łzawą uciechą.

— Przywiązanie wzajemne jest majątkiem; miłość czuła i prawdziwa osłodzi i zastąpi wiele niedostatku.

Melancholia.

Jest to zbyt czułość która płacze, nie wiedząc dla czego, wzdycha nie wiedząc po co. Po-

spolicie napada tych, którzy nie wiedzą co robić z czułością.

Miłość.

Miłość jest władza, która całe nasze jestestwo w ukochaną osobę przenosi: jest to dusza w drugiej duszy, życie w drugim życiu.

— Miłość, jest jakby drugi wiek dziecinny rzucony wśród życia pełnego już lat i kłopotów.

— Miłość zawsze gotowa chodzić w parze z nieszczęściem, skoro się powinność nie uświęca.

— Imaginacya daleko bogatsza od rzeczywistości, a kobiety zwykle równie są skore do strojenia kochanków w urojone przymioty, jak do ogoławania mężów z istotnych.

— Żadnego nie dopuszczaj pozoru żeby ubarwić uczucie, które w występne zamienić się może. Miłość można pieścić jak dziecko, ale obudzi się wnet więcej wymagająca.

— Dziwna rzecz, że wszystko co się robi dla kochanka, nie jest poczytane za cnotę. Odmień słowo, niech to będzie dla męża a już podziwiają wszyscy; taka to powinności władza.

— Jest wielka różnica w sposobie kochania mężczyzny i kobiety. Kobieta szuka zwierzchności

się, wiecznie by mówiła o miłości swojej przed swoim kochankiem; mężczyzna, im prawdziwiej kocha, tem więcej milczy, wstyd jakiś go przejmuje; nie chce nikomu zwierzyć się ze słabości swojej. Z powodzeniami znowu, popisuje się mężczyzna, kobieta jeśli uległa milczy; miłość cnotliwa dla niej stworzona.

— Mężczyzna kochając, zrywa jeden z tysiącznych kwiatów, któremi jego życie zakwita; kobieta zrywa jedyny. Jego do zawsze kwitnącej róży, ją, do aloesu, tylko raz na pół wieku kwiat wydającego, porównaćby można.

— Konieczniaby potrzeba, żeby kobiety na wzór mężczyzn miłość uważały jako *ustęp* w życiu, bez którego nawet historia, lubo nietyle zajmująca, zawsze przecież może ujść swoją drogą.

— Kochać kogo, jest to przekładać go nad siebie, swoją osobę za nic rachować, jemu poświęcić wszystko w wielkich i małych rzeczach, codzien i w dniach wielkich życia. Kochać kogo choćby najszaleniiej, dla siebie, jest to uczucie bliskie miłości własnej, samolubstwa. Polskie *kochać się w kim*, nieznanne innym językom, doskonale prawdziwą miłość maluje. Jest to samolubstwo, ale we dwóch osobach.

— Zwyczaj *narzeczonych* w Niemczech, jest mojem zdaniem ugruntowany na prawdziwej znajomości serca ludzkiego. Czy nie lepiej pozwolić młodej osobie kochać się i być kochaną, użyć prawnie i godziwie wszystkich sercowych wdzięków i słodyczy miłości. Najczulszy mąż już to nie kochanek; najlepsze małżeństwo już to nie miłość; my co wiemy i znamy, pojmujemy dla czego. Dla skromnej i niewinnej kobiety, illuzje po ślubie zginąć koniecznie muszą. Owe zatem poznanie się z miłością, jakie młoda osoba z zezwoleniem rodziców, jawnie, bez wyrzutów sumienia czyni, najlepiej ją w dalszem życiu od nieprawej miłości uchroni.... To uczucie dla cnotliwej i tklivej kobiety, już się powtórzyć nie da; niech go więc używa przed ślubem, i niech idzie tylko za tego który je wzbudzić potrafi. Sama poszedłszy za mąż z miłości i przypatrzwszy się z bliska wielu małżeństwom, jestem zupełnie przeciwna owym nibyrozsądnym, niedobranym w wieku, ułożonym; ukartowanym, słowem owym małżeństwom *de convenance*, w których rodzice albo starsi wybór czynią, a pannie żyć każą.

Młodość.

Marzenia, zamiary, wreszcie i smutki młodości, wszystko to jak chmurki w dzień pogodny rozwiewne:

Jako przedza pająka,
Gdzieś na wiatrach się błąka.

— W młodości

„Światy w kwiaty, ziemia zwie się rajem.”

— Miękkie serce młodego, jest jakby świeżo rozkopana nowina, na której się każde ziarno posiane rodzi.

— Młody wiek dziewcząt w naszym kraju jest szczęśliwszy niż gdziekolwiek. Jeszcze panuje w wielu domach ten tryb wychowania, który utrzymuje panienkę w zupełnej niewiadomości złego i jej cnota jest jak w dziecku niewinnością. Zataić tego nie można; owa czystość moralna ma coś czarującego w sobie; ta prawdziwa świeżość duszy zastępuje cnotę, równie jak barwa młodego wieku zastępuje piękność. Ale się nie zawsze udaje tryb taki, i może nie każda młoda osoba zniesie bezkarnie owe nagłe przewidzenie, jakie w życiu i świecie koniecznie spotkać się musi. W dzisiejszym stanie rzeczy, bardzo się na to naraża, żeby

albo być nieszczęśliwą, zniechęconą, a może i występna, albo też na to, żeby na zawsze *starem dzieckiem* zostać.

Moc duszy.

Moc duszy która prawdziwą nadaje odwagę, przyda się i kobiecie. Nie zależy na tem żeby bić się, ale żeby nie bać się niczego.

Do pięknego czynu trzeba dwóch przymiotów: *dobroci* żeby go natchnęła, i *mocy duszy* żeby go spełniła.

— Sam rozum wymaga mocy duszy w nieszczęściu; kto siły swoje i czas trwoni na opłakiwanie niedoli, czemże ją dźwignie i kiedy?

— Szczęśliwy kto umie porzucić majątek, stan i na złość losowi zostać człowiekiem.

— Ktokolwiek cierpieć nie umie, słabą ma duszę. W tém zakładaj chwałę swoją, żebyś zawsze okazywała większe serce niż nieszczęście.

Mój wiek dojrzały.

Niewinne dzieciństwo moje, czysta młodości, wszakżebyście niebardzo się rumieniły, spoglądając na mój wiek dojrzały! Ubyło wiele, ale też

i przybyło nie mało; jest dziś we mnie skromność, mało o sobie zarozumienie, których dawniej nie miałam. Nie wiem czy w istocie mniej warta jestem; ale to wiem, że daleko mniej niż dawniej się cenię.

Muzyka.

Wszystkie sztuki trzymają się za ręce. Tak muzyka z poezją i malarstwem. Mickiewicz potrzebował muzyki do ożywienia ducha swojego; a Mengs, kiedy chciał rzucić pomysł swojego obrazu *Zwiastowanie*, śpiewał sonatę Corellego, mówiąc że chce, żeby jego malowanie w tymże duchu było.

Myśl na cmentarzu.

Natura co się nigdy nie zmienia, dziwi także po wielkiem nieszczęściu; jakże to dziwno kiedy niebo świetne, pogodne, ziemia wesoła, a w naszym sercu ciemno, ponuro, smutno!

Nadzieja.

Nadzieja jest odwieczną wszystkich ludzi piastunką, kołysze nas bezustannie i smutki nasze usypia.

Natura.

Jest jakaś styczność między górami a dumą, między niebem a daleką lecz pewną nadzieją; między biegiem wody, a oddalającym się przyjacielem; między księżycem srebrzystym a spokojnym sumieniem.

Nauczyciele.

Kiedy widzę jak jedno światełko tysiące innych roznieca i zapala, samo nic nie tracąc, przypomina mi się nauczyciel, który nie traci światła swego choć go udziela:

Nauka.

Umieć dokładnie to co się umie, nadaje umysłowi jaki spoczynek podobny do spokojności sumienia.

Nauki u kobiet.

Nauki których udzielają młodym, są jak owe ćwiczenia nauczyciela od tańca; nikt nóg nie stawia w pozycjach, nikt się nie kłania z *dégage*, a przecież ta umiejętność, chód piękny i tańiec składny ułatwia i nadaje.

— Kiedy widzę kobietę, która wyszedłszy ze sfery właściwej i z prostoty, wdaje się w politykę lub filozofią, zda mi się, że widzę ptaszyne wypadłą z gniazda, która podlecieć by rada, a nie może, i każdy zgnieść, zniweczyć ją gotów.

— Kobiety zabawy tylko w naukach szukają i dziwią się że mężczyźni za zabawkę je uważają.

— Lepsze dawne, proste, polskie matrony, niż światłe dzisiejsze niewiasty, od cnót i przymiotów płci żeńskiej wrodzonych odstępujące. Cnotliwa kasztelanowa Połaniecka Hegla nie czytała.

— Dawniejsze kobiety nie wiele umiały, ale wiedziały że nie umieją; dzisiejsze najczęściej nic nie umieją, a rozumieją że uczone.

— Ja nad zasługi słynę z naukowości i rozumu, a mniej się uczyłam od panien o których nikt ani wspomni. Nie przypominam sobie, ażebym kiedy miała więcej od dwóch metrów, ale też jakże dla nich pracowałam! Mało też rzeczy znam, ale znam gruntowniej niż inne osoby; religią, historią polską, język polski i francuzki. Życzę, aby każda kobieta, tyle miała ze swego rozumu, ile ja chwały i chleba.

Niedostatek.

Nie wstydź się niedostatku i zaradzaj mu pracą. Jeśli ci potrzeba zachęty, pomnij że sam Zbawiciel życie w ubóstwie pędził.

— Ostateczności się tykają. Będąc już za granicą, chciałam raz siostrze posłać podarek, ale nie miałam pieniędzy; w tym właśnie czasie jedna z moich bogatych przyjaciółek, chciała posłać podarek córce i nie wiedziała co, bo nie było rzeczy którejby ta nie miała. Obie byłyśmy bardzo stroskane: ja że nie miałam dosyć, ona że miała za nadto.

Nieporządek.

Chcąc żyć mile i wygodnie, trzeba się strzedz tego słowa *temczasem*. Są tacy, którzy nic jak należą ani mają, ani robią, mówiąc zawsze: „to tylko *temczasem*.” Choćbyś trzy dni miał gdzie gościć, ułóż się tak, żeby ci tyle dobrze było, ile być może. Na tem *temczasem*, życie zejść może i niczego nie użyjesz.

Niewinność.

Gdyby wymowa nie miała swego tłumacza na ziemi, schroniłaby się do ust niewinności uciemionej.

Niższe stany.

Niżsi, jak np. ubodzy i prości ludzie, są poczęści ani zupełnie źli, ani zupełnie dobrzy; nieustanna praca i zabiegi o chwilę obecną, nie pozwalają im ani czuć żywo, ani myśleć głęboko; przecież czasem i czuć i myśleć są zdolni.

Nudy.

Nudy znane są tylko bogatym, zda się że człowiek więcej ma sił przeciw ostrości, niżli przeciw łaskom fortuny.

— Jeżeliś bogata, nie używaj bogactw swoich na okupienie się od powinności, jeśli nie przez wzgląd na cnotę to przez wzgląd na szczęście twoje. Jak zapłacisz marszałka który rachunki za ciebie utrzymywać będzie, szafarkę która wszystko za ciebie wyda, służących, którzy wszystko za ciebie uszyją, ułożą, uporządkują, co cię od stóp do głowy ubiorą; jak zapłacisz niankę, która dzieci twoje umyje, ubierze, uśpi, zabawi; guwernantkę, co je wyuczy, — wiesz co sobie kupisz? nudy, spazmy, nieszczęście.

Obmowa.

Obmowa jest jak moneta towarzyska, wszędzie kursuje, wszędzie przyjmowana. Najczęściej obmawiamy w najniewinniejszej myśli, chcemy drugich zabawić, okazać się przyjemnemi; a czy to w ścisłym pożyciu, czy w towarzystwie, koniecznie mówić potrzeba.

— Pamiętaj, że ile razy źle mówisz o kim, tyle razy on dwa razy gorzej o tobie. Słowa twoje rzucone na ludzi już skończonych, będą jak krople wody rozbijające się o skałę; ale ich wyroki o tobie, która jesteś jakby z wosku, będą miały moc słońca.

— Obmawiamy zwykle najbliższe nam osoby, ale bądźmy pewni, że to nam jest oddane. Kiedy jestem z wujem, źle mówię o kuzynku, kiedy z kuzynkiem, źle o wuju; a jak kuzynek z wujem się zejda, niewątpliwie źle mówią o mnie.

— I ten co obmawia i ten co słuca obmowy, źle czyni: jeden grzeszy językiem, drugi uszami.

— Moja moc sądenia o rozumie i umiejętności ludzi, zależy na tem, o ile w rozmowie z nimi obejść się można bez krzywdy bliźniego, bez obmowy.

Obowiązki.

Czasem mieć ich wiele ulgą jest, podobnie jak niosąc ciężar, jeśli kto część onego odejmie i równowagę zepsuje, pozostały choć lżejszy, więcej ciąży.

Obrazy natury.

Obłoki przy wschodzie słońca są różowe i świetne, a potem zmieniają się w ciemne i czerwone, bo poprzedzają burze i kryją gromy; — takie i dni nasze.

— Jeszcze mi nic nie spowszedniały piękności natury; promień słońca między dwoma obłokami, mruczenie wiatru wśród liści, blade światło księżyca, śpiew słowika, kwiatek rosą pokryty, pszczoła miód zbierająca, trawka co zrozpadlin muru wyrasta, wszystko to jeszcze zajmuje mię, duszę do Boga podnosi. Z płodami sztuki już się oswoiłam, już mnie nie lada co bawi.

— Któż z nas nie wpatrywał się kiedy z polubieniem w gwiazdziste niebo, kto w niem nie szukał tych gwiazd, które jaśniej błyszczą wśród tych myriadów mniejszych światła; kto w nich nie śledził, nie babał wielkich tajemnic naszego

przeznaczenia, wieku świata, imienia stwórcy, przyszłości duszy. Kto nie usłyszał jakby głosu lubego z tych gwiazd: „Duch twój tak trwały i trwalszy jeszcze jak my.”

— Nic piękniejszego jak kiedy po długiej suszy powstanie burza. Potokiem leje się woda, a potem pokaże się słońce i oświeci lśniąca się liście. Ziemia wnet wypije wody, jak serce spragnione szczęścia wypija nadzieję.

Oddalenie.

Chcąc skrócić oddalenie drogich osób, wynajduj sobie zatrudnienia, które koniecznie przed ich powrotem spełnić potrzeba, a tak mimowolnie pragnąć nie będziesz rychlejszego ich nad obietnicę powrotu.

Ofiary.

Kto ma konieczną do uczynienia ofiarę i dręczący kłopot któremu przez lenistwo końca nie kładzie, podobny jest do tego który się niecierpliwi że wiatr stuka i skrzypi drzwiami, a leni się wstać i zamknąć je.

— Mężczyzna prędzej przedsięwzięcie ofiarę,
kobieta łatwiej ją poniesie.

Opinia.

Ktokolwiek potrzebuje świadectwa i oczu drugich do własnego szczęścia, oddał w niepewne ręce szczęście swoje.

Piękne sztuki.

Piękne sztuki mają wzór w naturze. Symetria form w kruszcowym i roślinnym rzędzie za wzór architektom służyła; cień, odbicie przedmiotów w wodzie, rysunku i malarstwa pomysły dały; szmer liści, swist wiatrów, śpiew ptasząt, muzyki nauczyły.

Pieniądze.

Trwoniemy pieniądze odziedziczone, ale szanujemy zarobione.

— Ochroniajmy pieniądze, ale nie kochajmy się w nich.

— Na stu kobietach, ledwie jedna z własnej sumki ma co w schowaniu i zapasie. Próżność i czułość rozwiązują zbyt często woreczek.

— Dobrze rządząc pieniędzmi, okupiemy sobie spokojność i szczęście, ale jeśli one nami rządzą, wciągają nas w tysiączne podłości i winy, a nawet w występki i zbrodnie.

— Potrzeba zmusza częstokroć do przyjmowania nagród pieniężnych, ale kto to czyni z nałogu, sprzedaje się.

— Za nic złego nie daj, ani weź pieniędzy.

Plotki.

Nie ma sługi, któraby ich robić nie miała ochoty. Najlepiej na to nic nie odpowiadać co mówią, bo nic nie pomoże zakaz, jeśli z upodobaniem słuchać ich będziemy. Nie dosyć nie wypytywać się: należy jeszcze nie słuchać.

Placz.

Często ze łzami uchodzi z serca naszego,— to wszystko co boleść ostrego i przykrego miała.

Pochlebstwo.

Jeden jest tylko sposób użycia pochlebców i pochwalców naszych na dobre: stać się takimi, jak oni mówią że jesteśmy.

Podróże.

Lepiej podróżować z takim co nie zna miejsca które zwiedzasz, jak z bywalcem. Zwyczajnie wtedy chce cię skwitować opowiadaniem, albo nawiasowém obejrzeniem. Bywalce w podróży czem wdowcy powtórnie się żeniąc.

Podróżny.

Podróżny powinien cztery przepisy zachować: nie sądzić z pozorów, nie wierzyć wszystkiemu co słyszy, nie mówić wszystkiego co myśli, nie wydać wszystkiego co ma.

Polska.

Polska była zawsze jak ten co światło niesie w czasie wiatru; więcej była zajęta osłanianiem go jak zajaśnieniem.

Praca.

Zrobić coś z niczego, jest własnością Boga; zrobić z małej rzeczy wiele, to własność pracy.

— Pracować, jest to mieć nadzieję: dla tego, człowiek zupełnie nieszczęśliwy, równie jak człowiek zaspokojony nic robić nie może.

— Miłuj pracę, a ciężaru jej tak nie uczujesz

jak matka która piastuje dziecię: nie czuje go prawie na rękach z miłości.

— Ja zawsze uważam prace naszych ziomków bąć w obcym języku, bąć dla obcych dobra przedsięwzięte, za świecę zapaloną w dzień jasny. Po co marnować to światło, kiedy w naszej ciemnej i ubogiej krainie, tak by się dobrze wydało, tak by użyteczne było!

Prawda.

Kto kłamie jednak hołd prawdzie oddaje; bo kiedy nie może przed sobą, chce przed drugimi fałsz udać za prawdę.

— Próżność, największa nieprzyjaciółka prawdy.

Prostota.

Prostota powinna być codziennie ubiorem kobiety; wielkie uczucia niech jak klejnoty chowa na wielkie wypadki.

— Bez prostoty nie ma nic ani zupełnie dobrego, ani zupełnie prawdziwego.

— Wiele młodych osób mniema że jest wdzięk i powab w słabem zdrowiu. Te acz nie chorują, wszystkie ich sprawy schorzałe; jedzą bez smaku, śpią bez pokoju, śmieją się bez radości,

a gdy chodzą, zdaje się iż raczej posuwają się niż postępują. Już minęły te czasy kiedy podobne ułożenie wabiło.

— Brak prostoty szkodzi cności. Tak często zdarza się widzieć osoby cnotliwe, wyrachowane, poważne, surowe, nudne i zimne, że nie jeden woli już trochę złą i jak to mówią *sans façon*.

Prostota życzeń.

Ja zawsze miałam w sobie jakiś zapas życzliwości: dla drugich swobody, i pokory dla siebie. Dla mnie bardzo rychło przyszedł ten wiek, a raczej zawsze w nim żyłam, kiedy piękne miejsce, powietrze miłe, przechadzka samotna, rozmowa przyjacielska, wystarczały mi do szczęścia.

Przemiany wieku.

Od urodzenia do dobrej mowy, jest niemowlę, do lat dwunastu dziecię, do lat dwudziestu młodzienaszek, do lat dwudziestu pięciu młodzieniec, do lat trzydziestu pięciu młodzian, do lat sześćdziesięciu mąż, do lat siedmdziesięciu sędziwiec, odtąd do końca starzec.

Przesada.

„Jedni aż nadto czernią, drudzy nadto bieżą,”
mówi Krasicki. Ja wolę ostatnich.

Przyjaźń.

Mężczyźni nas obwiniają, że nie masz między nami tyle wzorów przyjaźni co u nich; zarzut niesłuszny. Jeśli nie tak głośne imiona przyjaciółek kobiet jak Damonów i Pityasów, Orestów i Pyladów, to zapewne nie dla niedostatku uczucia, ale dla tego że nasze powołanie i poświęcenie się będąc zupełnie innego rodzaju jak męskie, tak głośnemi być nie mogą. Trzeba zbiegu okoliczności nadzwyczajnych, żeby wydać na jaw wszystkie skarby tkliwości jakie kobieta ma w sercu; wreszcie, mężczyzna wolny jest w wyborze swego przywiązania, może przekładać przyjaciół nad rodzinę, obowiązki towarzyskie nad powinności przyrodzone. Dla kobiety, taka cnota jużby cnotą nie była; nie może ona bez uchybienia przeznaczeniu swemu, wyżej cenić ofiary nad powinność. Jest wprzód córka, siostrą, żoną, matką niż przyjaciółką i obywatelką: i póki jedna z tych powinności nad nią cięży, póty oddać się cała przyjaźni, ani przybranym obowiązkom i uczuciom nie może. Wolna jednak od nich, nie-

zrównana jest w swoim poświęceniu i zapewne żaden mężczyzna takim przyjacielem jak ona przyjaciółką być nie potrafi.

— Nigdy człowiek sam siebie znać nie potrafi, jak zna nas przyjaźń prawdziwa.

— Jeśli na doskonałego z zawarciem przyjaźni czekać będziesz, nie umieścisz nigdy serca swego. Znoś cierpliwie wady przyjaciela swego, a ile możliwości pracuj ażeby się z nich poprawił.

Przymioty.

Są osoby, które przymioty swoje grubą monetą dostały, inne co zdawkową; pierwsze dobre do nadzwyczajnych wypadków, drugie do codziennego życia.

Przymioty serca.

Przymioty serca gdy zamienione w wady, nigdy tego do siebie nie znają. Osoba exaltowana, zawsze myśleć będzie że tylko jest czułą, słaba że dobrą, obraźliwa, że delikatną.

Religia.

Religia jest niczem więcej jak moralnością z wiarą złączoną; można więc powiedzieć że

z dwóch istot się składa: z wiary i z moralności. Kto wierzy, a nie jest moralnym, ma tylko wiarę, jest bigotem, świętoszkiem, czasem fanatykiem; kto jest moralnym, a nie wierzy, jest filozofem, mocnym duchem. Sto razy lepiej mieć moralność jak wiarę, ale najlepiej i najpewniej moralność swoją połączyć z wiarą i to dopiero *Religią* się zowie.

— Prawie wszystkie najrzetelniejsze opinie, błąd za sobą ciągną: w umyśle mieści się zawsze cień obok rzetelnego przedmiotu, ztąd i zbytek wiary, do którego niektóre kobiety więcej są przywiązane niż do istotnie potrzebnej.

— Szkoda, że kapłani częstokroć daleko więcej się przywiązują do wiary jak do moralności; ich nauki zamiast być religijne, to jest łączyć tajemnice wiary z przepisami moralności, są niemal zupełnie odrębne; dla tego też, wielu wierzy, a mało dobrze czyni.

— Nie sądzę aby należało do religii, przykrości i umartwienia sobie zadawać, dosyć zdaje mi się znosić je z pokorą gdy przyjdą.

— Ludzie religijni, a raczej pobożni, nie mają częstokroć przyjaciół i szacunku u ludzi. Zastanawiałam się nad tą niesprawiedliwością i doszłam: że ci ludzie rzadko posiadają przymioty

w towarzystwie popłacające, a raczej wzbudzające najwięcej poszanowania, jakimi są: odwaga, szlachetność, otwartość. Nawykli do pokory, urazy znoszą i tchórzów imię zyskują; przyzwyczajeni we wszystkim do widzenia ręki Boga, nie umieją oprzeć się złym ludziom; nareszcie wiedzeni chęcią pokoju, przejęci miłosierdziem dla każdego bez wyjątku, są potulni, usłużni, a tem, więcej odstręczają niż ujmują. Nie wątpię, że mogliby postępować inaczej, że to źle zrozumiana religia, która do czegokolwiek złego prowadzi: ale temczasem tak się dzieje i takie skutki.

Rewolucye.

Najszczęśliwsze narody które nie potrzebują rewolucyj, w łonie których pokolenia następują jak wody rzek poważnych; nurt ten sam, lubo wody coraz nowe.

Robotki kobiece.

Robotki kobiece zbyt kowe co do czasu i co do pieniędzy, a mało użyteczne: są to romanse ręczne.

Romanse.

— Czytamy z upodobaniem romanse, bo to jest rodzaj który kołysze duszę: ale najlepsze źle nam

czynią, choćby dla tego tylko że wykrywają za nadto serce tajniki.

Rozrzutność.

Znałam męża oszczędnego żony trochę rozrzutnej, który, gdy ona kupiła stroik jaki i mówiła: „To prawie za nic, dwa dukaty!” — On przerywał: „rachuj na złote kochanko, to nie dwa, ale trzydzieści sześć.”

Samolubstwo.

Samolubstwo jest to samotność serca, miłość bez ruchu, która w nas samych się zbiera, nas samych ma za cel... jest to nadużycie zdania, że sobie samemu wystarczyć należy.

Serce.

Serce potrzebuje chłonać uczucia serca z drugiego i oddawać mu je bogatsze. Bez tej zamiany, nie ma życia dla serca, jak bez powietrza nie ma życia dla ciała.

Serce i dusza.

Dusza jest to wiek dojrzały, serce to młodość.

Skapstwo.

Skapstwo z sercem czułem kobiety i z jej bystrą imaginacją, a nawet z próżnością zgodzić się nie może; zawsze większa jest potrzeba uzbroić kobietę przeciw rozrzutności i nierządowi, jak przeciw skapstwu i chciwości.

Skromność.

— Nie spuszczaaj oczu, chyba razem uniżając serce.

— Nie obieraj u stołu ostatniego miejsca, dla tego żeby cię zuszaniem najpierwszem częstowano.

— Nie wygaduj na siebie w celu żeby ci prze czono.

— Udana pokora jest nie tylko nieznośną, ale i złośliwą, bo często żal ma do tego który jej słowo bierze za dobrą monetę.

— Skromność broni od zazdrości.

— Skromność nie jest przymiotem, ale blaskiem przymiotów.

— Kobieta nieskromna nie zawsze jest złą. Śmiech głośny, głos podniesiony, wejrzenie śmiałe, ton decydujący, poufałość z mężczyznami, są także przeciwne skromności.

Ślepi.

Ślepi są zwykle umysłu łagodnego i jednostajnego; czyby pozbawieni światła ziemskiego, większy udział niebieskiego mieli? Czyli też cień w którym żyją, ma wpływ na duszę podobnie jak noc więcej jest milcząca od dnia.

Sława.

Kobieta do szczęścia swego nie potrzebuje sławy, potrzebuje raczej, aby się nikt na nią nie gniewał.

— Za sławą, za błyszczeniem nie ubiegajmy się nigdy; ileż to trzeba wieków chwały, żeby wyrównać dniowi szczęścia!

Sława po śmierci.

Nie dbam o sławę, ale z poczciwym Rejem bardzo dbam o to, abym po śmierci słowa wdzięczne zostawiła po sobie i wszyscy mówili: „dobra to była, poczciwa a cnotliwa kobieta.”

Słońce.

Lubię kiedy słońce uderzy na mój stolik, na moje pismo; słońce, to może Boga spojrzeć,

powiedział poeta. Zda mi się więc, że je oświecić, poświęcić raczy, dobrem, skutecznem uczynić. Wreszcie miłem mi jest to wglądanie, ta jasność; wszystko co piszę, jawnem być może.

Słowik.

Lubię niezmiernie słowika. Ptaszek ten tak lubi człowieka i piękną naturę, że się zdaje, że jest skrzydlatym pośrednikiem który jednemu o drugiej w swym języku opowiada.

Śmierć.

Zycie nie jest w liczbie, ale w użytku lat. Możemy boleć nad śmiercią jak nad złem każdym, bo śmierć nie jest dziełem Boga, jest sprawą grzechu i karą za niego.

— Rodzimy się wszyscy z zarodem śmierci bliższej dalszej; ten zaród często zachodami naszymi wzmagamy: najlepiej żyć dobrze i nie myśleć o nim.

— Można zabierając się do spoczynku mówić sobie: nie chciałabym żeby ten sen był snem śmierci, ale koniecznem jest, usypiając myśleć w świętej pokorze: choćby ten sen był snem śmierci, nie dręczyłaby mnie trwoga.

— Życ, jest to iść ku śmierci; umrzeć jest to wstąpić w życie wieczne. Dobrze żyć jest to iść drogą która do tego życia prowadzi.

— Śmierć skutkiem wieku, albo długiej choroby nastąpiona, i dla umierających i dla drugich mniej ma przykrości. Jest to jak ów wyjazd konieczny, który lubo przykry, przecież, kiedy się przeciąga, już nawet korci żeby nastąpił.

— Kto już przeżył lat kilkadziesiąt, czego tu ma czekać, czego się spodziewać, byle w zgodzie był z Bogiem, mógł westchnąć do niego, polecić mu ukochanych swoich, to i dosyć.

— Nie wiem jak kto, ale ja, ile razy zbłądzić mi się zdarzy, i skutki tego błędu ciążą na mnie, lub co gorsza na drugich, tyle razy z niewymówną pociechą myślę o drugim życiu, mówię sobie: „Ach! już tam nie będzie można nic złego zrobić!”

— Owe wszystkie rzeczy niedocieczone o Bogu, o czasie, o wieczności, cuda nawet niepojęte świata tego, wszystkiego tego już, bliżcy jesteśmy w starości. A jeżeli człowiek na różne niewygody i koszta się naraża, rozdziela się z domem i z przyjaciółmi, żeby zobaczyć większe, piękniejsze miasta, wyższe góry, szersze rzeki, inaczéj ubranych ludzi; jeżeli na wiarę cudzych słów jedzie chętnie do obcych i dalekich krajów,

o! jakżeby w podróż wieczności nie miał się wybierać z radością!

— Gonić, gonić potrzeba za doskonałością, chociażby w wigilią śmierci, jeszcze i wtedy jest pociecha i nagroda.

Śmierć na obcej ziemi.

Byron napisał w Child Haroldzie i ja mu wtóruję: „Jeżeli mi przyjdzie złożyć głowę w ziemi „obcej, cień wróci do ziemi rodzinnej, bo dusza „oddzielona od ciała, może sobie wybrać miejsce „szkanie.

Smutek.

Ludzie powinni by się wstydzić smutku osobistego i nudów. Jeden tylko smutek godziwy przypuszczam: stratę i niedolę drogich nam istot, więc zawsze cudze cierpienia.

Stalość.

W stalości jest coś Boskiego. Wystawia ona wizerunek wieczności i jest udoskonaleniem cnoty. Iść dobrą drogą czas jakiś, a potem z niej zboczyć, jest utracić całą zasługę poprzedniej podróży; iść ciągle tą samą drogą mimo przeciwności, jest to prawdziwie torować sobie drogę do

chwały. Kto dziś tego, jutro innego zdania, niczem więcej nie jest, tylko aktorem który rolę według potrzeby odmienia.

Starość

W czem nędza starości?—w tem, że wie wszystko.

— Że w starości życie traci wdzięki swoje, w tem jest widok dobroczynnego Boga; chciał śmierć pożądaną uczynić. Kiedy matka chce odłączyć bez żalu dziecię od piersi, naciera piółunem jagody, żeby czuło wstręt do pokarmu który mu był tak miłym.

— Są dwa rodzaje starców: starcy w wieku i starcy w imaginacyi. Są starcy którzy umierają z sercem młodem, są młodzi, którzy ciężką starość wiodą.

— Starzec jest echem przeszłości, dziecię zwierciadłem przyszłości.

— Człowiek w wieku, jest jak podróżny, który zmuszony wyjeżdżać jutro, wysłał swoje bagaże naprzód. Bagaże człowieka, to jego omamienie i lata: co chwila oddaje część szybkiemu gońcowi, a tym gońcem jest czas.

— Poszanowanie starości, miłość synowska, jest religiją uczuć świeckich.

— Ja się nie dziwię kiedy kobieta w wieku potraciwszy drogie sobie istoty, a zwłaszcza męża, do klasztoru idzie... Kiedy ludziom obojętni i niepotrzebni jesteśmy, czyż nie lepiej samęj z sobą tylko pod oczyma boskimi mieszkać?

— W starości ziemia już mniej pachnie, a niebo wonność swoją dzielniej otwiera; mnie się zdaje, że pobożność ma swoje kwadry w podobieństwie księżycowych. W młodości jest na nowiu, w starości, w pełni.

— Są książki piękne, są zatrudnienia, roboty, które sobie odkładam na starość, jeżeli jej Bóg da doczekać; napelniam sobie spichrze na te złe lata, póki jeszcze dobre jako tako się ciągną.... Dobrzeby może mieć książeczkę pod tytułem *Zapasy na starość*, tylko że gotówby nas kto posądzić, że żadna nie przyzna, żeby już czas był ją otworzyć.

Starzy przyjaciele domu.

Mają wielki wpływ na prowadzenie się nasze, bo oni zadowolniają niepozbytą w kobiecie próżność. Dobrze jest robić wszystko dla męża, jego mieć na celu w przyjemnościach domowych; ale darmo: mąż jest zbyt częstym świadkiem żeby dla niego były wszystkie starania. Trzeba więc

dalszego a niewinnego sędziego, i dobrze kiedy się trafi; że trochę zrzędny, wybredny, tem większe usiłowania żeby mu się wszystko podobało; tem większa radość kiedy pochwali.

Strata drogiech osób.

Tracić drogie osoby i na ich śmierć patrzeć, jest umierać samój. Jam już dwakroć umierała. Boże daj, aby trzecia była moją własną.

Stroje.

Stroje już od tak dawna przyznane są za namiętność kobiet, że w XIV wieku jeden professor florencki widząc iż młodzi jego uczniowie przyszli wystrojeni, zapytał ich się najprzód czy żon szukają? A gdy odpowiedzieli z uśmiechem że nie, on im rzekł „Już wiem, mężów chcecie.”

— Nie ma dwóch większych ostateczności jak w ubiorze; albo za nadto, albo za mało nas zajmuje, i dla tego tę pomiare prawdziwą uważam za rodzaj choty.

— Nic właściwszego jak dawać dzieciom stroje na nagrodę. Zawsze mi się chce matkę na pokucie posadzić, kiedy mówi że jej córka była grzeczna i dla tego sprawiła jej nową suknię, al-

bo też że nie była grzeczna i dla tego nie ubrali jej. Proszę sobie wystawić, jakie to wyobrażenie rośnie w tej główce, czyż pokuta nie nauczy jej więcej złego jak samo przewinienie?

— Należałoby taką modę wprowadzić: niechby tylko brzydkie kobiety się stroiły, a piękne, niechby tylko ubierały się ładnie i do twarzy. Tym zostawić ozdoby które ich potrzebują; kiedy nos brzydki, niechże do niego chustka będzie tak cudna, żeby na nos nie spojrzano.

Sumienie.

Wrzuć się w głąb' wody, utoniesz; przyłoż' rękę do ognia, sparzysz się; nie oddychaj, udusisz się; zrób co złego, będziesz miał wyrzuty sumienia.

Światło.

Wody wprowadzone z czystego źródła do zepsutej kloaki, jeśli nie obfite, zepsują się tem połączeniem; tak mała cząstka światła zbyt jest słaba żeby wielką oświecić ciemność: raczej ginie w niej.

Szczęśliwy naród.

Gdzie szczęśliwy naród? Tam gdzie mężczyźni swobodni, a kobiety czyste.

Szlachectwo.

Co jest szlachectwo? Jest to przedpłata którą ci ojczyzna dała na zaręczenie twoich nadziadów.

— Kto pierwszy z rodu swojego cnotą się wsławi, ten wszystkich cnotliwych ludzi za nadziadów uważać powinien.

— Trudniej stworzyć swoje szlachectwo, jak znaleźć gotowe.

Ubóstwo.

Ktokolwiek wydaje nad dochody, ubogi.

Ufność w drugich.

Długo miałam zupełną wiarę w tych, których kochałam, i mam ją dotąd: bo śmiało powiedzieć mogę, że dotąd żadnej nie doznała zdrady. Mam zwyczaj od matki wpojony i zawsze żałowałam ilem razy go zaniechała: zawsze powtarzam drugim co dobrego o nich usłyszę, nigdy co złego.

Uroda.

Osoba prawdziwie dobra i rozumna, nigdy szpetną nie będzie: jaka wlatarni jest świeca, takie światło w latarni.

— Serce wszystko ozdobi i dzieci najlepiej się znają. Najmniejsze, rączki wyciąga, śmieje się, wdzięczy do osoby nieładnej, ułomnej, starzej, której twarz dobroci ma wyraz. Nie przylgnie do najpiękniejszej, jeśli będzie miała wyraz pogardy.

— Co spragnionemu po najpiękniejszym puha-
rze, jeśli stoi próżny, lub szkodliwym napojem
nalany.

Wady.

Często chlubimy się własnymi wadami dla
tego tylko, że je mają także jakie osoby sławne
i szanowne, nie pomnąc że to jedyne z nimi po-
dobieństwo. Co pomoże kobiecie szpetnej, że
ma nogę równie brzydką jak kobieta piękna?

Wartość osobista.

Człowiek mający wartość osobistą, jest ten,
który we wszystkich punktach powinności i obo-
wiązków swoich dopełnia, a prócz tego wzoro-
wym jest w jakiej gałęzi którą sobie obrał.

Wiek dojrzały.

Łatwo się pocieszyć że zmarszczków na czole
przybywa, kiedy w sercu cnoty wzrastają.

Wiek ludzki.

Dzieci nie mają ani przeszłości ani przyszłości; rozsądniejsze od nas używają obecnej chwili—za mało przedziału między czasem gdzieśmy zbyt młodzi i zbyt starzy.

— W młodości czujemy żywo zmartwienia; pierwsze nieszczęścia są jak pierwsze mrozy, dotkliwiej przejmują, ścinają liście nadziei.

— Młodym się zdaje, że albo zawsze będą młodzi, albo że młodymi umrą; a temczasem, wieki jak towarzysze podróży idą z nami czas jakiś, a potem nas rzucają. Dzieciństwo moje umarło, a ja żyję; młodość umarła, a ja żyję; tak będzie zapewne i z wiekiem dojrzałym: umrze, a ja zostanę starością. Starajmy się aby ci zgasli przyjaciele nasi nie wstydzili się za nas, gdyby na świat wrócili.

Wielki świat.

Nic pociesniejszego nad to, że ci którzy do tak przezwanego wielkiego świata należą, wystawują sobie że oni są światem. Podobno żeby się wdać w rachunki, byłiby miljonową częścią świata; nie sądźmy więc że źle się dzieje, choć wielcy panowie i damy dobrego tonu narzekają.

— Dla własnego szczęścia pilnować się należy, ażeby nie piąć się do wielkiego świata i nie mierzyć wedle niego ludzi i okoliczności. Najszczęśliwsza mierność; żal mi tych wszystkich, którzy się nie w niej rodzili.

Wielkie towarzystwa.

Najszczęśliwszy, kto w małym i ścisłym kole żyje. Pochwały wielkich towarzystw podobne są do strojów balowych, blask całą ich zaletą, nazajutrz obracają się w szmaty.

Wszyscy i każdy.

Wszyscy zdaje się wielkie słowo, *każdy* mało znaczące; niech jednak każdy co czyni, będzie toż samo co wszyscy.

Wychowanie.

Wychowanie niestosowne do tych z którymi żyjemy, choćby najlepiej się przyjęło, będzie zawsze przymiotem niewczesnym, owym strojem bogatym i wykwinnym w którym między porządnie lecz prosto ubranych weszliśmy.

Wynalazki.

Co to za szczęśliwy wynalazek, żeby mistrz z taką samą łatwością rysował na kamieniu jak na papierze, i żeby natychmiast tego co zrobił, było kilkaset kopij. Litografia, jest zupełnie tem do sztychu, czem tiul do koronki; wszystkie kobiety mają dziś dziurkowane czepki i wszyscy ludzie litografie; ten łatwy strój tak się upowszechnił jak rysunki. Litografia, tiule, szale, bawełniane płótna, i t. p. Wszystko to są omnibusy, wszystko to skutki wstrząśnień i te bardzo uwielbiam. Rzeczy które dawniej były dla kilku, dziś są dla wszystkich. Gdyby tak ze światłem, z prawdziwą nauką byli postąpili Francuzi, dopiero byłoby rzeczywiste udoskonalenie. Ale równość dotknęła tylko materyalne potrzeby, dotknęła ciało; różnica umysłu jeszcze została.

Zasady.

Wpływ zasad moich na własne szczęście moje, najwięcej mi dowodzi ich prawdy.

Zatrudnienie.

Jeśli sama siebie zatrudnić, zabawić nie potra-

fish, na próżno zabaw i rozrywek między ludźmi szukać będziesz; — wszędzie siebie poniesiesz:

Zycie.

Zycie jest to przesmyk wąły i nie pewny między dwiema wiecznościami, między tem co było i tem co będzie.

KONIEC.



K296/7

SPIS RZECZY.

Ułamki Literatury. List do Przyjaciołki.....	1
Krótki Rys Historji Literatury Polskiej.....	25
O Listach Pani de Sevigné.....	43
Myśl do Dramatu, albo do Powieści historycznej p. t. Klimunt.....	47
Myśl do Powieści pod tytułem Helena.....	58
Historja Brzoskwini i Johalki.....	65
Opis podróży do Włoch.....	68
Myśli i Zdania moralne.....	157

W tym celu wybrał się do Wiedni, gdzie w roku 1784 otrzymał od cesarza Leopolda II tytuł hrabiego i wstąpił do Rady Państwa.

Życie

W tym celu wybrał się do Wiedni 1784

1784 - 1785: Wiedeń, Uniwersytet wiedeński

1785 - 1786: Wiedeń, Uniwersytet wiedeński

1786 - 1787: Wiedeń, Uniwersytet wiedeński

1787 - 1788: Wiedeń, Uniwersytet wiedeński

1788 - 1789: Wiedeń, Uniwersytet wiedeński

1789 - 1790: Wiedeń, Uniwersytet wiedeński

1790 - 1791: Wiedeń, Uniwersytet wiedeński

1791 - 1792: Wiedeń, Uniwersytet wiedeński

1792 - 1793: Wiedeń, Uniwersytet wiedeński

1793 - 1794: Wiedeń, Uniwersytet wiedeński

1794 - 1795: Wiedeń, Uniwersytet wiedeński

1795 - 1796: Wiedeń, Uniwersytet wiedeński

1796 - 1797: Wiedeń, Uniwersytet wiedeński

1797 - 1798: Wiedeń, Uniwersytet wiedeński

1798 - 1799: Wiedeń, Uniwersytet wiedeński

1799 - 1800: Wiedeń, Uniwersytet wiedeński

1800 - 1801: Wiedeń, Uniwersytet wiedeński

1801 - 1802: Wiedeń, Uniwersytet wiedeński

1802 - 1803: Wiedeń, Uniwersytet wiedeński

1803 - 1804: Wiedeń, Uniwersytet wiedeński

1804 - 1805: Wiedeń, Uniwersytet wiedeński

1805 - 1806: Wiedeń, Uniwersytet wiedeński

1806 - 1807: Wiedeń, Uniwersytet wiedeński

1807 - 1808: Wiedeń, Uniwersytet wiedeński

1808 - 1809: Wiedeń, Uniwersytet wiedeński

1809 - 1810: Wiedeń, Uniwersytet wiedeński

1810 - 1811: Wiedeń, Uniwersytet wiedeński

1811 - 1812: Wiedeń, Uniwersytet wiedeński

1812 - 1813: Wiedeń, Uniwersytet wiedeński

1813 - 1814: Wiedeń, Uniwersytet wiedeński

1814 - 1815: Wiedeń, Uniwersytet wiedeński

1815 - 1816: Wiedeń, Uniwersytet wiedeński

1816 - 1817: Wiedeń, Uniwersytet wiedeński

1817 - 1818: Wiedeń, Uniwersytet wiedeński

1818 - 1819: Wiedeń, Uniwersytet wiedeński

1819 - 1820: Wiedeń, Uniwersytet wiedeński

1820 - 1821: Wiedeń, Uniwersytet wiedeński

1821 - 1822: Wiedeń, Uniwersytet wiedeński

1822 - 1823: Wiedeń, Uniwersytet wiedeński

1823 - 1824: Wiedeń, Uniwersytet wiedeński

1824 - 1825: Wiedeń, Uniwersytet wiedeński

1825 - 1826: Wiedeń, Uniwersytet wiedeński

1826 - 1827: Wiedeń, Uniwersytet wiedeński

1827 - 1828: Wiedeń, Uniwersytet wiedeński

1828 - 1829: Wiedeń, Uniwersytet wiedeński

1829 - 1830: Wiedeń, Uniwersytet wiedeński

1830 - 1831: Wiedeń, Uniwersytet wiedeński

1831 - 1832: Wiedeń, Uniwersytet wiedeński

1832 - 1833: Wiedeń, Uniwersytet wiedeński

1833 - 1834: Wiedeń, Uniwersytet wiedeński

1834 - 1835: Wiedeń, Uniwersytet wiedeński

1835 - 1836: Wiedeń, Uniwersytet wiedeński

1836 - 1837: Wiedeń, Uniwersytet wiedeński

1837 - 1838: Wiedeń, Uniwersytet wiedeński

1838 - 1839: Wiedeń, Uniwersytet wiedeński

1839 - 1840: Wiedeń, Uniwersytet wiedeński

1840 - 1841: Wiedeń, Uniwersytet wiedeński

1841 - 1842: Wiedeń, Uniwersytet wiedeński

1842 - 1843: Wiedeń, Uniwersytet wiedeński

1843 - 1844: Wiedeń, Uniwersytet wiedeński

1844 - 1845: Wiedeń, Uniwersytet wiedeński

1845 - 1846: Wiedeń, Uniwersytet wiedeński

1846 - 1847: Wiedeń, Uniwersytet wiedeński

1847 - 1848: Wiedeń, Uniwersytet wiedeński

1848 - 1849: Wiedeń, Uniwersytet wiedeński

1849 - 1850: Wiedeń, Uniwersytet wiedeński

1850 - 1851: Wiedeń, Uniwersytet wiedeński

1851 - 1852: Wiedeń, Uniwersytet wiedeński

1852 - 1853: Wiedeń, Uniwersytet wiedeński

1853 - 1854: Wiedeń, Uniwersytet wiedeński

1854 - 1855: Wiedeń, Uniwersytet wiedeński

1855 - 1856: Wiedeń, Uniwersytet wiedeński

1856 - 1857: Wiedeń, Uniwersytet wiedeński

1857 - 1858: Wiedeń, Uniwersytet wiedeński

1858 - 1859: Wiedeń, Uniwersytet wiedeński

1859 - 1860: Wiedeń, Uniwersytet wiedeński

1860 - 1861: Wiedeń, Uniwersytet wiedeński

1861 - 1862: Wiedeń, Uniwersytet wiedeński

1862 - 1863: Wiedeń, Uniwersytet wiedeński

1863 - 1864: Wiedeń, Uniwersytet wiedeński

1864 - 1865: Wiedeń, Uniwersytet wiedeński

1865 - 1866: Wiedeń, Uniwersytet wiedeński

1866 - 1867: Wiedeń, Uniwersytet wiedeński

1867 - 1868: Wiedeń, Uniwersytet wiedeński

1868 - 1869: Wiedeń, Uniwersytet wiedeński

1869 - 1870: Wiedeń, Uniwersytet wiedeński

1870 - 1871: Wiedeń, Uniwersytet wiedeński

1871 - 1872: Wiedeń, Uniwersytet wiedeński

1872 - 1873: Wiedeń, Uniwersytet wiedeński

1873 - 1874: Wiedeń, Uniwersytet wiedeński

1874 - 1875: Wiedeń, Uniwersytet wiedeński

1875 - 1876: Wiedeń, Uniwersytet wiedeński

1876 - 1877: Wiedeń, Uniwersytet wiedeński

1877 - 1878: Wiedeń, Uniwersytet wiedeński

1878 - 1879: Wiedeń, Uniwersytet wiedeński

1879 - 1880: Wiedeń, Uniwersytet wiedeński

1880 - 1881: Wiedeń, Uniwersytet wiedeński

1881 - 1882: Wiedeń, Uniwersytet wiedeński

1882 - 1883: Wiedeń, Uniwersytet wiedeński

1883 - 1884: Wiedeń, Uniwersytet wiedeński

1884 - 1885: Wiedeń, Uniwersytet wiedeński

1885 - 1886: Wiedeń, Uniwersytet wiedeński

1886 - 1887: Wiedeń, Uniwersytet wiedeński

1887 - 1888: Wiedeń, Uniwersytet wiedeński

1888 - 1889: Wiedeń, Uniwersytet wiedeński

1889 - 1890: Wiedeń, Uniwersytet wiedeński

1890 - 1891: Wiedeń, Uniwersytet wiedeński

1891 - 1892: Wiedeń, Uniwersytet wiedeński

1892 - 1893: Wiedeń, Uniwersytet wiedeński

1893 - 1894: Wiedeń, Uniwersytet wiedeński

1894 - 1895: Wiedeń, Uniwersytet wiedeński

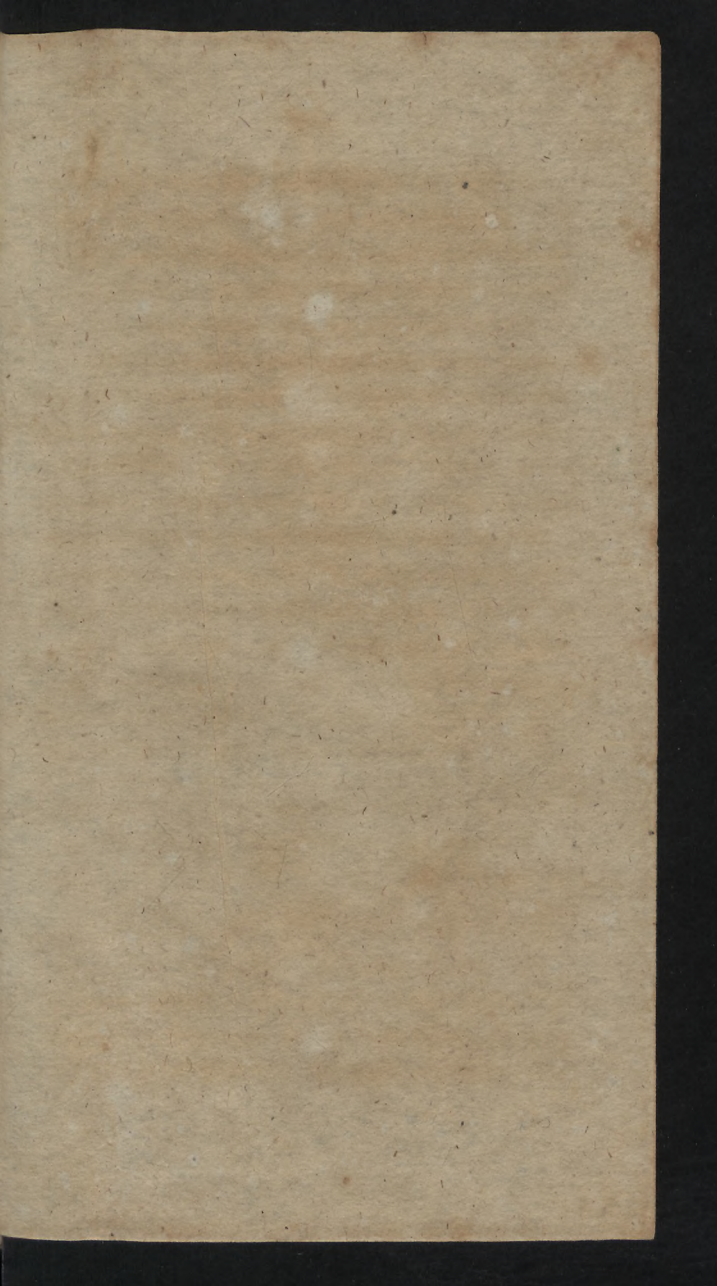
1895 - 1896: Wiedeń, Uniwersytet wiedeński

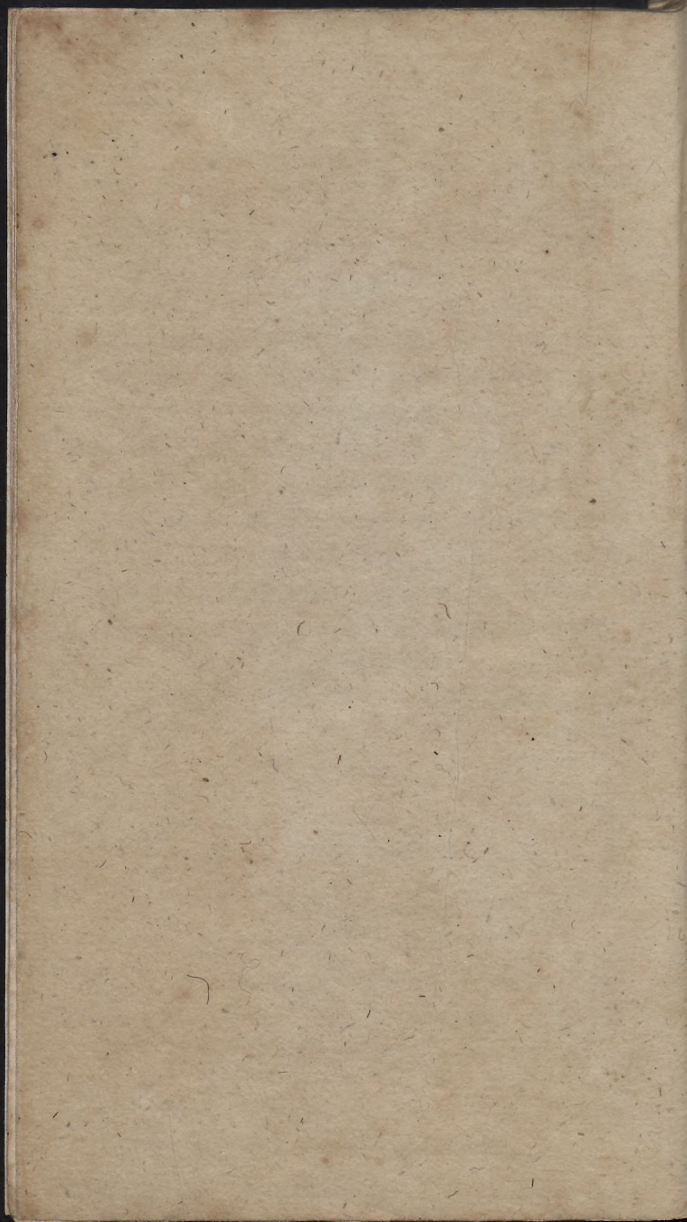
1896 - 1897: Wiedeń, Uniwersytet wiedeński

1897 - 1898: Wiedeń, Uniwersytet wiedeński

1898 - 1899: Wiedeń, Uniwersytet wiedeński

1899 - 1900: Wiedeń, Uniwersytet wiedeński





720/71

174.

Miejska Biblioteka Publiczna
w Gdyni



10263143

Spec

BIBLIOTEKA
NAUKOWA
M. B. P.
w Gdyni
Czytelnia

25580

1952